

# BLUSZCZ

*Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 6 GRUDNIA 1930 ROKU

NR. 49

TREŚĆ NUMERU: Tolerancja, oportunizm, czy zanik sumienia? — *Janina Strzelecka*. Stulecie przyjaźni Polsko-Belgijskiej — *Z. R.* Miłość panny Celiny — *Halina Anderska*. Późna jesień w Krakowie — *Krzyszyna Grzybomska*. Przechadzka po salonie 1930 r. — *S. P. O.* Otwarcie Biblioteki Narodowej w Warszawie — *A. Kubicka-Stanisławska*. Z życia towarzyskiego — *S. P. O.* Z teatrów — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Estetyka, prostota i praktyczność — *S. P. O.* Pilna sprawa — *W. P.* W przeddzień Bożego Narodzenia — *Wanda Dobrzańska*. Przymaki świąteczne — *Pani Elżbieta*. Wilje — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: *Casaques* — *Well*. Dodatek powieściowy: „Pani Niuśka i jej parasolki” — *Eugenja Kobylińska-Masiejewska*. Arkusz wzorów.

## TOLERANCJA, OPORTUNIZM, CZY ZANIK SUMIENIA?

Kiedy napisałam to słowo „sumienie”, kiedy właśnie przeczytałam je czarno na białym — uświadomiłam sobie dopiero w całej pełni, że właściwie pisać artykuł na temat sumienia, choćby w jednej trzeciej tylko, to shocking w dzisiejszych czasach i prawdopodobnie strata słów. Wszystkie oczy, uszy, wogóle wszystkie zmysły i umysły zbyt są wytężone w kierunku spraw i zjawisk zewnętrznych. Różnica bowiem między postępowaniem w udoskonaleniu zewnętrzności, a rozwojem w dziedzinie spraw etyki, jest karykaturalnie rażąca, na niekorzyść tego drugiego.

Ale cóż — nic bez ryzyka! Niechaj sobie ludzie wzruszają ramionami na mój artykuł o sumieniu (w jednej trzeciej), niech krzywią się z niesmakiem na ten shocking, nic to! Kto wie, czy właśnie te niemodne i „niewspółczesne” tematy nie są najbardziej interesujące. Zresztą, przyznaję, nie posunęłabym się może aż do napisania artykułu, gdyby nie pewien incydent.

Byłam wtedy kilka dni temu na koncercie. Wychoząc w czasie antraktu, zauważyłam pewną parę: on — starszy pan, dobrze zakonserwowany, świetnie ubrany, wogóle ktoś „ze stanowiskiem” i to niebyłajakiem; ona... ona, hm, także owszem. Młoda, znacznie młodsza od niego, ładna, ale „takiś małe nic”. Taka „jedna, druga szczegółka”, jak się mówi w Warszawie, pozwalała wnioskować, że paniusia zawdzięcza oprawę i wogóle dużą resztę starszemu panu, obecnemu mężowi prawdopodobnie. Mam na te rzeczy już dzisiaj wprawne i cyniczne (hélas!) oko. Ale ta para to jeszcze nic.

Clou incydentu, a właściwie sam incydent, to była pewna, bardzo głośno prowadzona rozmowa à propos owych dwojga. Nie potrzebowałam podsłuchiwać, bo świetnie słyszałam, co mówiły trzy panie, tuż obok mnie siedzące. Przytaczam rozmowę niezmienną (à la Rabindranat Tagore).

Pani starsza (lat pięćdziesiąt z okładem) do drugiej pani w tym samym wieku:

— Patrz-no, widzisz? Idzie ten dyrektor ze swoją nową żoną.

— A, widzę, widzę; miała dziewczyna szczęście, no i sprycik: tak się zakręciła koło pana szefa, że w rok doprowadziła do rozwodu z pierwszą żoną i do małżeństwa ze sobą.

Pierwsza starsza pani (z bolesnem stęknieniem):

— Mój Boże, jednym szydła gołą, a drugim brzytwy nie chcą! Moja Helenka już trzy lata jest sekretarką dyrektora banku i także mogłaby napewno go skokietować i, kto wie, może doprowadzić do ołtarza, ale nie ma, widać, rozumu na te rzeczy... — (Helenka siedzi obok).

Helenka:

— Mamusia to ciągle to samo! Już mówiłam, że mój szef ma żonę i troje dzieci i zresztą nie umiem i nie chcę nikomu w drogę wchodzić!

Mama:

— Olaboga! mówisz jak przed stu laty; też przeszkody wymyśliła! Wszystkie prawie tak robią, co trzecie prawie małżeństwo się rozwodzi i świat się nie przewraca do góry nogami! Nie znasz życia i dlatego nigdy do niczego nie dojdiesz...



Dzwonek, wchodzi na estradę la grande cantatrice. Rozmowa się urwała.

Siedzę, nie słyszę ani śpiewu, ani akompaniamentu, nie rozróżniam, czy sopran, alt, wogóle niczego nie rozróżniam. Pełne mam uszy tej rozmowy; w pewnej chwili szczypię się mocno w rękę, aby się upewnić, że nie śpię, że siedzę tutaj, w konserwatorium, że całą tę ohydę na własne najrodzajniejsze uszy słyszałam. Nie mierzę mądrym stręczycielki „miażdżącym“ wzrokiem; wogóle, o ile mogę analizować mój stan wewnętrzny, to nawet nie „pałam oburzeniem“. Robi mi się tylko przeraźliwie smutno, wprost beznadziejnie.

Skończył się koncert, zaczyna owacja; nie czekam na naddatki nadprogramowe, wykłaskane przez „upojoną“ publiczność; bardzo pośpiesznie zmierzam ku wyjściu i ku domowi. Wracam piechotą, choć daleko, aby się uspokoić i długo jeszcze, do późnej nocy siedzę w moim pokoju i myślę. Już teraz możliwe na chłodno.

Przewija się przez moje refleksje leitmotiv dzisiejszego sposobu bycia, dzisiejszej najistotniejszej metody postępowania wszystkich prawie i wszędzie prawie.

„Ote toi, pour que je m’y mette“ — Idź stąd, abym zajęła, czy zajął twoje miejsce.

Zaczynam przypominać sobie setki wypadków, w których różne Heleny, Marje, czy inne Bronisławy, sprycikiem i umiejętnością życia obdarzone, nawet bez porady kochającej rodzicielki budziły „wielką miłość“ w starszym, czy młodszym panu ze stanowiskiem i zajmowały miejsce żony, ach, niekiedy po dwudziestu i więcej latach całkiem możliwego pożycia pary małżeńskiej.

Oczywiście, on uprzytomniał sobie raptem, że nigdy właściwie tej pierwszej nie kochał, że ona go nie rozumiała, że wiązały ich „tylko“ dzieci, przyzwyczajenia, czy wspólne interesy. Obecnie (po latach dwudziestu) on ma prawo do szczęścia i do radości, znalazł nareszcie drugą połowę swego „ja“, swoje niezbędne dopełnienie; że byłoby zbrodnią wobec siebie pozwolić odejść wielkiemu szczęściu, minąć się ze swem przeznaczeniem etc., i t. d., i t. p.

A ona, ta druga? Ma zawsze ogromne plusy. Zawsze go, naturalnie, rozumie. Ma tę bezsporną wyższość, nie! ten świetny atut, że jest „na niedzielę“; nie potrzeba z nią rozmawiać o budżecie miesięcznym, o złych stopniach Kazia, o konieczności interwencji w sprawie przyjmowania kawalerów przez Marynię (młodszą do wszystkiego), czy o sprawieniu nowych mebli do stołowego pokoju. Ta druga jest zawsze inna, „nowa“, działa, naturalnie, na zmysły (to najważniejsze!), jest pod ręką, nie będąc w ręku; ach, jest ciągły dreszczyk, perlący się złotem winem, zamiast szklanki stojącej wody dnia powszedniego.

Dzięki niej poznało się dopiero miłość prawdziwą, jedyną, której nie wolno zabijać.

W konsekwencji rozwód, czy unieważnienie małżeństwa, albo inny sposób wyjścia (ten wychodzi już z mody, bowiem dziś dominuje pęd do legalizacji).

Opinja? Opinja otrząsała się z tem zjawiskiem, jako z rzeczą zbyt częstą. Mam wrażenie, że ludzie naogół uważają, iż większą sensacją jest małżeństwo dobre (może pozornie) nie rozwodzące się, aniżeli naodwrot. Opinja idzie dziś w kierunku, powiedzmy, zupełnej... tolerancji. Mówi się: „to są sprawy osobiste, ludzie mają prawo do szczęścia (opinja posługuje się również tym terminem); zresztą „ona“ (ta pierwsza) nie umiała z nim, widocznie, postępować“; no i, ma się rozumieć, ten jeszcze argument — o ile są dzieci — że „lepszy rozwód, niż piekło, bo dzieci demoralizują się w atmosferze dysharmonji“. Notabene, w danym małżeństwie wcale nie było piekła, było nawet całkiem znośnie.

Opinja jest w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto po stronie tej drugiej. Tolerancja, oportunizm, czy zanik sumienia?

Nie mam zamiaru występować w roli Savonaroli, nie nadużywam terminu „moralność“, uchylam zawsze czoła przed naprawdę wielką miłością, w której imię przekreślają ludzie niekiedy długi okres życia; powiem więcej: ja się już nawet nie oburzam, patrząc na to całe bagienko dzisiejszego życia, oświetlone jaskrawo reklamą świetlną dominującej zasady, kategorycznego imperatywu „ôte toi, pour que je m’y mette“.

Chodzi mi tutaj o inną sprawę: sprawę pewnej, choćby najpowierzchniej ujętej, solidarności kobiecej, wobec „tej pierwszej“, a pewnej (przepraszam za określenie), obrzydliwej skwapliwości „sympatycznego“ stosunku do zastępczyni.

I tutaj, odbiegając na chwilę od tematu, muszę przeprowadzić pewną analogję między „wczoraj“, a „dziś“, pomiędzy dawniejszym, a obecnym stosunkiem do pewnych zagadnień. Rozwodziło się przecież i dawniej nie zawsze w imię prawdziwego uczucia, ale... wstydzono się tego jednak; ten wstyd był jak gdyby daniną, płacaną zasadzie dobra i sprawiedliwości. Grzech (nie w ciasnym katechizmowym ujęciu) istniał przecież po wszystkie czasy, ale właśnie nazywano go grzechem, przekroczeniem owej zasady. Najcudniejsze słowa Żeromskiego: „człowiek jest to rzecz święta, której krzywdzić nie wolno“ — znajdowały oddźwięk w sercach ludzkich.

Dzisiaj? Dzisiaj krzywda przestała się tak nazywać, zdobyła prawo obywatelstwa; dziś nikt się krzywdy nie wstydzi i nikt się na nią nie oburza. Tolerancja, oportunizm, czy zanik sumienia?

Święci swój triumf siła przed prawem, siła spryciku i... sztuki życia w tem brzydkim, poziomem, utylitarystycznym tego słowa znaczeniu. Święci swój



triumf „prawo do szczęścia“ w sensie obrania drogi najmniejszego oporu, w sensie zdania się na łaskę fali, która zalewa, topi w odmęcie krzywdy całe nieraz życie „tej pierwszej“, co najlepsze dni i lata swoje sterała w ciężkiej pracy i trosce, aby u schyłku połowy życia, gdy nastąpiła nareszcie poprawa bytu, ustąpić miejsca „tej drugiej“, co silnym ramieniem przepychać się umie przez życie... „Ote toi, pour que je m'y mette“.

Wszystko bywa niekiedy w porządku. Słyszycie się przecież stale i takie określenie: „On postąpił, jak gentleman: zostawił jej mieszkanie i dzieci...“. Kobiety bywają w takich razach jeszcze bardziej wyrozumiałe, niż mężczyźni, mają przecież bardziej miękkie, że tak powiem, „kobiece“ ujęcie sprawy.

Rysują się coraz częściej duże, widoczne skazy na moim dotychczasowym przekonaniu o „lepszości“ świata kobiecego. Bajki, prześwietny sędzie! Miałam próbki tej lepszości w dyskusji, jaka toczyła się na łamach pism kobiecych w sprawie „Piekle kobiet“. Mnóstwo okrucieństwa, oschłości, obłudy i ciasnoty pojęć. Przepraszam za dygresję.

Kończę, zresztą; czas wysnuwać wnioski, dać jedną bodaj receptę na sposób sprzeciwiania się złu. Nie nawołuję do palenia na stosie, czy do piętnowania lub bojkotu towarzyskiego „tych drugich“. Myślę tylko, że, o ile mamy określony stosunek do wartości czynów ludzkich, jeżeli deklamuje się tak ciągle do śmiertelnego znudzenia o solidarności kobiecej, to dla czegoż wyciąga się pochopnie rękę do tej, która dla bardzo mizernych powodów zabrała (tak jest!)

jeżeli nie szczęście, to spokój ludzki? Dlaczego opinia jest prawie zawsze po stronie owych drugich?

Tolerancja, oportunizm, czy zanik sumienia? Czy nie najwyższy czas pomyśleć o osobistym ustosunkowaniu się do owego „prawo do szczęścia“? Czy nie najwyższy czas pomyśleć nie, broń Boże! o organizowaniu krucjaty, lub jakiejś nowej Ligi moralności, ale o poruszaniu tej sprawy zasadniczo, w sensie odwoływania się do zanikającego sumienia ludzkiego? Czy nie najwyższy wreszcie czas do zachowania przynajmniej rezerwy w stosunku do kobiet, które, doprawdy, „starają“ się dziś o mężczyznę żonatego, nie przebijając w środkach?

Powie mi ktoś, że trudno w tych sprawach przeprowadzać dochodzenie. Zapewne. Odpowiem tyle tylko: intuicją (naszym szóstym zmysłem) wyczuwamy zawsze — ach, i tak dobrze zresztą o wszystkim wiemy, bo dziś te zaloty odbywają się bardzo jawnie i bardzo bezpośrednio — intuicją, powtarzam, wyczuwamy zawsze, jakie to motywy pchają do ataku na „prawo do szczęścia“. Powiem więcej: stokroć bardziej winną jest dziś niekiedy kobieta, aniżeli mężczyzna. Ona działa sprawnie, z metodą, doskonale kalkuluje i oblicza, on?...

Przychodzi moment psychologiczny (tak się nazywa dziś dojrzałość do grzechu) i mężczyzna poddaje się na gorąco.

Wnioski? Więcej rezerwy, mniej tolerancji, więcej ludzkiego, dobrego uczucia, życzliwości dla „tej pierwszej“; mniej oportunistów, ach i więcej ćwiczeń, aby sumienie sprawniej funkcjonować zaczęło.

Janina Strzelecka.

## STULECIE PRZYJAŹNI POLSKO-BELGIJSKIEJ

Data 1830 roku, tak ważna dla narodu belgijskiego, gdyż w roku tym Belgja uzyskała byt niepodległy, przypomina fakt, znamienity dla przyjaźni polsko-belgijskiej: fakt, iż powstanie listopadowe w niemałej mierze przyczyniło się do zwycięstwa belgów, uniemożliwiając Mikołajowi I-mu przyjście z pomocą zbrojną swemu szwagrowi, królowi holenderskiemu, gdy planował on wyprawę przeciw zbuntowanej Belgji. Po upadku powstania, po tragicznym dla Polski zdobyciu Warszawy i wkroczeniu do niej ks. Paskiewicza-Erywańskiego, wyruszyła w świat cywilna i wojskowa emigracja polska, i znalazła gościnne przyjęcie na wolnej ziemi belgijskiej, zastawszy tam przyjazny dla siebie nastrój umysłów i serc.

Rozpoczęła się wtedy era twardej współpracy, będącej dowodem, iż nie na czem manifestowaniu uczuć ograniczyło się zbliżenie obu bohaterów narodów. Oficerowie polscy, jedni z najlepszych wówczas w Europie, wstąpili do młodej armji belgijskiej

i rozpoczęli tam energiczną pracę twórczą, po dzień mającą u belgów najlepsze tradycje.

Faktycznym organizatorem tej armji stał się gen. Jan Zygmunt Skrzynecki, doświadczony żołnierz, wypróbowany w ogniu wielu bitew, ale niefortunny wódz naczelny wojsk polskich w powstaniu listopadowym, niewątpliwym winowajcą klęski pod Ostrołęką, który po ciężkiej przeprawie z gen. Krukowieckim podał się do dymisji i wyjechał zagranicę, a w 1833 r. przyjął propozycję rządu belgijskiego i wstąpił do armji belgijskiej w stopniu generała dywizji.

Historycy wojskowości belgijskiej nieraz mieli sposobność podkreślania zasług gen. Skrzyneckiego, który, mając za sobą doświadczenie wojen napoleońskich, a tresurę i dyscyplinę wojska polskiego, był najlepszym, jakiego można było żądać, nauczycielem sztabu belgijskiego, w którego służbie pozostał przez lat jedenaście. Tchnął on w armję belgijską ducha żołnierskiego przy pomocy instruktorów-polaków, za-





Widok z Bruges.

równo oficerów, jak podoficerów, których wydobywał z niedoli emigracyjnej i powoływał do współpracy z sobą \*).

W owym to czasie piękne miasta Walonii i Flandrii udzielały gościny wygnańcom, którzy za głoszenie hasel niepodległościowych musieli opuszczać ojczyznę. Jednym z takich wygnańców był Joachim Lelewel, nauczyciel Mickiewicza na uniwersytecie wileńskim, uczony historyk i działacz polityczny. Mieszkańcy Brukseli po dziś dzień wspominają imię czcigodnego staruszka, będącego na bruku stolicy Belgji jedną z charakterystycznych postaci ubiegłego stulecia.

Przewinęło się tam prócz Lelewela wielu innych polaków: Andrzej Towiański, Aleksander Chodźko, Worcell, Mierostawski i t. p., a Belgja była w owym czasie wielokrotnie świadkiem tragedji polskiego tułactwa.

Nie dziw więc, iż wówczas już zadzierzgnąć się musiały węzły serdeczniejszej przyjaźni; polacy mieli sposobność ocenić u belgów hart ducha, zapal do pracy i podziwiać tych budowniczych silnego, choć małego rozmiarami, państwa.

Jeszcze przed wojną nawiązywały się między Belgją a Polską stosunki naukowe, pokażną bowiem liczbę polaków wychowywały szkoły belgijskie, a zwłaszcza Wyższy Instytut Handlowy w Antwerpii, z którego wyszedł znaczny zastęp fachowców na polu bankowości, handlu i organizacji gospodarczej. Na uniwersytecie brukselskim studjowali wówczas geografję, pod kierunkiem słynnego profesora Réclus, zasłużeni nauce polskiej: Arctowski i Dobrowolski, uczestnicy wyprawy belgijskiej do bieguna południowego.

Nigdy jednak w toku dziejów Polska i Belgja nie zrozumiały się i nie odczuły wzajemnie tak dobrze, jak w bolesnym okresie wspólnego nieszczęścia, gdy na zegarze dziejowym wybiła godzina wielkiej wojny.

\*) Cenny materiał, dotyczący służby polaków w armji belgijskiej, zawierają wydane ostatnio „Pamiętniki“ gen. Skarbek-Kruszewskiego.

Przez długie, nieskończenie długie cztery lata zmagają się waleczni żołnierze belgijscy z wrogiem; z niezachwianem męstwem broni szlachetny król ostatniego wolnego skrawka swej ziemi. Aż wreszcie nadchodzi chwila zasłużonego triumfu, łamie się potęga niemiecka, i król Albert na czele swych niezwalczonych pułków wjeżdża w mury szalejącej ze szczęścia Brukseli, aby stamtąd dyktować swą wolę powalonnemu zbrodniczemu Goljatowi.

„Niema chyba na świecie drugiego kraju, któryby losy Belgji poruszyły tak, jak Polskę“ — stwierdza w jednym ze swych przemówień I. J. Paderewski — „ale my nie płaczemy, nie skarżymy się, nie rozpaczamy. Król Albert i waleczny jego naród dodaje nam sił i odwagi, tak, jak będzie on zaw-



Król belgijski Albert (portret z czasów wielkiej wojny).



sze podtrzymywał, pokrzepiał i zachęcał do wytrwałości wszystkich państwa i narody, pozbawione wolności”.

Wolność ta nastąpiła po wielkiej wojnie. Rozpoczął się też wówczas okres odmiennego typu emigracji polskiej do Belgji. Za chlebem wyruszył na Zachód robotnik polski. W zagłębiach przemysłowych leodyjskich i limburskich górnik polski wyróżnił się wśród obcych rzesz robotniczych wytrwałością i inteligencją, a w miarę rozwoju gospodarczego Rzeczypospolitej zaczęło w Belgji wzrastać zainteresowanie stosunkami ekonomicznymi z Polską, czego dowodem jest fakt, iż kapitały belgijskie napływają stale w celu rozbudowania polskiego przemysłu.

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu, będąca przeglądem wytwórczości polskiej, udowodniła belgom możliwość współpracy z nami na polu ekonomicznym, a tegoroczne wystawy międzynarodowe w Leodjum i Antwerpii, na których Polska posiadała dobrze zorganizowane pawilony, wykazujące postępy nasze w dziedzinie handlu i przemysłu, oraz wycieczka przemysłowców polskich ze współudziałem ministra Kwiatkowskiego — stanowią nowy etap zacieśnienia stosunków między obu państwami.

Jak więc widzimy, nawiązane sto lat temu duchowe węzły polaków z belgami nie rozluźniły się po wojnie, a przeciwnie, wzmocniło je zrozumienie wspólnego niebezpieczeństwa, wspólnego wyroku historii, skazującego oba państwa na sąsiedztwo z Niemcami. Wzmocniła je także wspólna wdzięczność dla



Stare domy w Brukselli.

Francji, Anglii, Włoch i Ameryki, za których sprawą odniesione zostało zwycięstwo, przywracające Polsce niepodległość, a Belgji jej stanowisko wśród państw europejskich.

To też imię Belgji na zawsze będzie u nas otoczone czcią i uwielbieniem, stając się wzniosłym symbolem wielkości, szlachetności i mocy ducha, a orzeł polski i lew belgijski czuwać będą nad budową jutra społecznego i politycznego obu narodów. Z. R.

HALINA ANDERSKA.

## MIŁOŚĆ PANNY CELINY

Podwórko było brudne i ciemne. Pośrodku, na małym skrawku ziemi rośnie nędzne drzewko o chorych, pokurczonych liściach. Z każdym dniem gałązki stawały się bardziej stare, anemiczna zieleń okrywała się brudną rdzą.

Szła jesień.

Siedząc przy oknie, panna Celina miała przed oczyma zawsze ten sam pejzaż: niewielka przestrzeń brudnego, mokrego asfaltu i pień suchotniczego drzewka. Okno suterenu kończyło się właśnie tam, gdzie zaczynała się przestrzeń. Dopiero przyłożywszy twarz do szyby, u samej góry, można było zobaczyć pasemko nieba. Ale to wymagało czasu i ciekawości.

Panna Celina nie miała nigdy w ciągu dnia czasu na swoją ciekawość. Kiedy schyłona głowa zaczynała boleć i ciężać, a kark cierpiał i sztywniał z bezruchu, panna Celina podnosiła wolno głowę i odrzucała ją w tył, na poręcz wysokiego krzesła. Wtedy patrzyła przez sekundę tępo, bezmyślnie przed siebie, na sufit, zszarzały od wilgotnych plam.

Nie myślała o niczym. Odpoczywała.

Zdarzały się jednak także chwile próżniactwa.

Były to zapatrzenia intensywne i nagle w kształty ludzkich nóg.

Oto z za skwerku wysuwają się wysokie, smukłe, trochę dziecięce nóżki.

To panienka z trzeciego piętra wraca na obiad. Śpieszy się teraz. Rano szła ociężale i sztywno...

Panna Celina łapie się na gorącym uczynku próżniactwa i znów pochyla głowę nad twardą wełną. Czerwone palce układają pracowicie rzędy sztywnych fałd.

W tej chwili cień zasłania skąpe światło. Przed oknem ktoś stawia krzesło. Panna Celina zrywa się nagle z pociemniałymi ze złości oczyma i stuka gwałtownie w szybę. Niewidzialne ręce usuwają cień, ale zato do okna przysuwa się czerwona, opasła twarz stróżki i panna Celina widzi przez chwilę jej rozkrzyczane usta.

Potem jest znów cicho.

Z boku, niedaleko okna siedzi teraz chory chłopak. Panna Celina widzi jego bezwładne, długie nogi, zwiśnię w bezruchu. Chłopak siaduje tak całymi dniami, o ile nie pada deszcz. Z początku panna Celina



żałowała go. Był też czas, kiedy zastanawiała się nad tem, o czym to bezwładne dziecko może myśleć. Ale to było dawniej. Teraz chłopiec stróżki był taką samą częścią składową podwórka, jak usychające drzewko. Patrzyło się nań, nie widząc.

Cały dzień zresztą był wypełniony godzinami, których we wspomnieniach nie można było zobaczyć. Nie miały odrębnych, dających się zapamiętać, twarzy. Każdy dzień, każdy rok był taki sam. Co roku czerwone palce układały rzędy pracowitych fałd ze sztywnej wełny, lub lichego jedwabiu. Codziennie rozkładał się przed oczyma brudny asfalt podwórka...

Tylko wieczory nęciły różnorodnością przeczytanych książek. Zmęczone oczy wchłaniały chciwie czerń drobnego druku. Szybkim rzutem ogarniały nudne opisy i rozmyślania, ażeby odpocząć na chwilę na słowach, mówiących o tęsknocie serca. Wtedy zwiędłe usta rozchyłały się nieco z ciekawości i wzruszenia, głowa pochylała się niżej nad książką.

Panna Celina patrzyła na cudowną, nieznaną jej dotąd twarz miłości.

Cały wieczór, całą noc nawet — w swych snach — żyła intensywnym, radosnym życiem bohaterki przeczytanej powieści, żyła życiem, w którym się coś działo, które zawierało w sobie rzeczy niespodziewane — jak każdy cud w bajce. Na krótkie chwile stawała się kobietą, komuś upragnioną i do życia potrzebną.

Wracała młodość; ginęła gdzieś, rozpływała się w mgłę brzydka, zwiędła twarz. Ze starzejącej się kobiety, której nigdy nikt nie zauważył i nie kochał, panna Celina stawała się młodą i piękną dziewczyną.

W tym świecie marzeń nie działo się tak, jak w jej życiu. Każde „dziś“, każde „jutro“ było nowe, było inne.

\*

— Czy panna Celina skończy dziś wcześniej?  
— Przed ósmą.

— I już nie będzie się szyć dziś wieczorem?

— Nie.

— A co będzie z tą zieloną suknią? Miała być na jutro.

— Będzie na pojutrze.

Ciekawe, młode oczy błędzą po mizernej, pochylonej twarzy.

— To chyba coś ważnego, proszę pani?

— Niech Zosia nie przeszkadza. Muszę zdążyć wszyć kliny.

— I tak się nie zdąży.

— To się nie zdąży.

Błada twarz pochyla się jeszcze niżej nad robotą. Zgięta w pół, oświetlona mdłym światłem lampy, panna Celina staje się na chwilę częścią maszyny. Nerwowym rytmem drga zmęczone, wątłe ciało.

— Panna Celina pójdzie może do kina?

— Może... Czy Zosia wykończyła rękawy?

— Zaraz będą. A czy ten pan, co tu był wczoraj, także idzie?

Warczenie maszyny ustaje nagle. Ręce zastygają na ciemnym jedwabiu. Głos brzmi niesłyszalnie miękko:

— Idzie...

Niezgrabne palce gładzą pieścotliwie chłodny jedwab. Usta rozchyła pół-uśmiech.

— Panna Celina to chyba go zna dopiero od niedawna?

— Już prędko tydzień...

Młody głos brzmi niedowierzaniem...

— Ale pani chyba nie wyjdzie za niego?

Słowa są czasem zimniejsze od lodu. Panna Celina czuje chłód aż wewnątrz serca.

Nagle, gwałtownie puszcza w ruch maszynę. Nieświadzającymi oczyma wpatruje się w krzywy ścieg.

W skroniach tętni rytm słów:

— Może... Może...

\*

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc. W pokoju było zupełnie ciemno.

Panna Celina odnalazła poomacku łóżko i usiadła na niem ciężko, niezgrabnie. Pochyliła się trochę naprzód, jakby wpatrując się w ciemność. Widziała w niej wciąż, niby na ciemnym ekranie, jego twarz. Wydawało się jej, że są jeszcze razem.

Uśmiechnęła się niewidocznym, cichym skrzywieniem wyblakłych ust do minionej chwili szczęścia.

Oto nareszcie coś się stało. Życie przestało być szare i bezimienne, bez żadnego widomego sensu. Stało się rzeczą niezwykle piękną i ważną, jak jej miłość. Leniwym ruchem ręka sięgnęła po zapalki. Świeca rozpałała się wolno i także leniwie. Mdłe, słabe światło ukazało nagość szarych ścian...

Smutna, brzydka rzeczywistość, oglądana od tylu lat, uraziła olśnione oczy.

Przymknąwszy je, można było lepiej wspominać wszystkie wypowiedziane przez niego słowa, wszystkie tajemne uściski rąk.

Panna Celina czuła, że ta miłość stawia ją w jednym rzędzie z wszystkimi szczęśliwymi kobietami, że wywołuje ją z nicości. Nie umiałaby tego wytłumaczyć. Wiedziała jednak, że już nie przechodzi obok życia, jak dawniej, lecz, że naprawdę żyje.

On ją napewno kocha.

Czyż może być coś więcej?

Z cichym uśmiechem na ustach patrzyła na całowaną przez niego rękę. Leniwe, ociężałe słodyczą oczy badały kształt palców, uśmiechały się do zwiędłych przegubów dłoni. I nagle ostra myśl przebiła mózg, jak grot. Serce zaczęło bić szybko, bardzo szybko.

Pierścionka nie było.



Wąska obrączka z brylantem — pamiątka po matce i lepszych dniach, a zarazem jedyny skarb, chowany na czarną godzinę — znikła.

Zmartwiałe oczy patrzyły bezmyślnie na splecione ręce. I nagle panna Celina zapomniała o wszystkim, co nie było zgubą. Zerwała się z łóżka, wpatrzona w porzucone na stole drobiazgi. Drżącymi rękami przeszukiwała woreczek, potem szufladę stołu. Od szufladki wracała znów do woreczka. Zaczerwienionymi oczyma pełzała po wydeptanej podłodze izdebki. Gwałtownie szarpnęła drzwi szafki.

Obejrzała każdą rzecz, każdy łachman.

Nie znalazła.

Wówczas, zamknawszy oczy, zaczęła przypominać sobie wszystko, co zdarzyło się tego wieczoru.

Obraz przesuwiał się za obrazem.

Tak. Miała go na ręku, idąc do kina. Napewno. Pamięta, jak, pochwyciwszy jego ciekawe spojrzenie, tłumaczyła, skąd go ma. Wówczas to ukrył jej rękę w swojej...

Panna Celina zachwiała się nagle i ciężko oparła o ścianę. Odpychała od siebie okropne podejrzenie, trującą myśl... Coś krzyczało w niej, że musi się bronić, że wątpić nie może, nie powinna. Nawet przez najmniejszą chwilę. Nawet przez ułamek sekundy.

Zwątpić — to znaczy przestać żyć. Być znowu obok życia... Jakby na jawie, ujrzała nagle jego oczy,

zapadające w głąb jej źrenic. Wstrząsnęła się niespodziewanym, gwałtownym podrzutem ciała. Obie ręce przywarły do twarzy, palce wpiły się w zaciśnięte usta. Szeroko otwarte, niewidzące oczy błędziły bezmyślnie po nagich ścianach. I nagle znieruchomiały. Stawały się zwolna myślące i żywe, spragnione widoku małej figurki Chrystusa, na półleżce, nad łóżkiem.

Kolana ugięły się same i dotknęły, nie czując, zimnej podłogi. Czółgając się przed prymitywnym, naiwnym wizerunkiem, panna Celina roztrzęsionymi ustami błagała o wysłuchanie jej prośb...

— Jezu! Jezu! Pozwól, żeby się odnalazł. Ty wiesz. Nie prosiłam Cię nigdy o nic, więc teraz wysłuchaj mnie. Ty wszystko możesz. Wiem, że jeżeli zechcesz, odnajdzie go ktoś uczciwy. Jeżeli się znajdzie, będę pracowała jeszcze więcej, będę lepsza. Oddaj mi go. O, Jezu! Ty wiesz, gdzie go zgubiłam...

Ostatnie słowo powtarzała uparcie, niestrudzenie, jakby wymawianie go było już pociechą.

Wkońcu osłabła z płaczu i wzruszenia. Słowa modlitwy spletały się dziwnie, senna głowa opadła na krawędź łóżka.

Panna Celina usypiała, klęcząc, z oczyma jeszcze czerwonymi od łez, ale z jakimś cichym uśmiechem na zwiedłych wargach...

Ocaliła miłość.

KRYSTYNA GRZYBOWSKA.

## PÓŻNA JESIEŃ W KRAKOWIE

Gdy tylko pierwszy wieczorny mrok pozaciera kontury ulic, pochłonie szczegóły nic niemówiące i rozbłyśnie wzamian gwiaździstym światłem latarń i lamp ulicznych — miasto, zmęczone całodzienną pozą, ukazuje nam swoje prawdziwe oblicze. Wprawdzie w śródmieściu dalej rywalizują ze sobą o pozory wielkomiejskości tramwaje, głośno dzwoniące, policjanci z pałeczkami, przepuszczający lub zatrzymujący sznury aut i... (zawsze tych samych) dorożek-fjaków. W tem samym śródmieściu, gdzie przedewszystkiem biegną sprzedawcy gazet ze swemi „nadzwyczajnymi dodatkami“ (jest to przecież epoka sensacji, epoka wyborów) i gdzie kolorowe światła reklam elektrycznych promieniają triumfalnie z ponad dachów staroświeckich i średniowiecznych kamienic, zawładnąwszy nawet przyćmionymi murami Sukienic, na których, po wielkim, białym ekranie pisze odezwy, lub rysuje karykatury wyborcze jakaś tajemnicza ręka.

Wylewa się ten ruch i gwar długimi ramionami paru ulic na cztery strony miasta daleko poza obrębem plant, mijając po drodze wielki a świetlisty gmach „Pałacu Prasy“, biegnie za Wisłę; z ulicą Grodzką wije się u podnóża Wawelu, gubiąc się w swoistym charakterze dzielnicy żydowskiej; pomieszaniem dźwięków i barw tworzy banalny i

w gruncie rzeczy zupełnie do innych podobny obraz (przepraszam: „film dźwiękowy“) wielkomiejskiego życia.

Ale tuż obok — żadna już reklama nie przypomina renesansowego charakteru Biblioteki Jagiellońskiej, nic nie przeszkadza drzemać w ramionach poźółkłych kasztanów staremu kościołowi św. Anny. Zdaleka dolatują nas stłumione dźwięki hejnału i nagle widzimy, jak niedaleko przed wielkim, pseudo-gotyckim budynkiem zawirowało od ciemnych ludzkich sylwetek. To młodzież akademicka po skończonej godzinie zmienia sale wykładowe, spieszy do seminarjów, lub do bibliotek, rozsianych gęsto w tej dzielnicy uniwersyteckiej.

Przechodnia, błakającego się takim wieczorem po ulicach, nieraz omami odgłos własnych kroków i będzie się oglądał, kto to tak za nim pośpiesza. A przybysz, turysta, lub nawet sam mieszkaniec Krakowa w przystępie spleenu jesiennego pomyśli sobie (może ze wzruszeniem ramion): „Cóż to za senne, ba! śpiące miasto. Jakże tu nic się nie dzieje!“

Rzeczywiście nieraz zarzut ten spotkał już Kraków i — krakowian. I rzeczywiście przyznać trzeba — nic się tu u nas właściwie nie dzieje, jeśli w tem wyrażeniu mieścimy sensację, tempo wielkomiejskiego życia i inne tym podobne efekty. Spragnieni takich



wrażen krakowianie — chodzą do kina. Na zewnątrz krytyczni, chłodni i wymagający — pamiętają, że żył wśród nich Matejko, Wyspiański, Przybyszewski; że tu odbyła się premiera „Wesela”, a jednocześnie królował „Zielony Balonik”. Że tu Piłsudski, ćwicząc swoich strzelców, formował przyszłe kadry Legionów. Nie lubią reklamy, nie lubią manifestowania swoich uczuć. Zainteresowania ich mieszczą się przedewszystkiem w ramach spokojnego intelektualizmu. Świadczy o tem choćby to, że w Krakowie wychodzą aż dwa miesięczniki, zajmujące się najważniejszymi sprawami i wydarzeniami współczesnej kultury. Są to: „Przegląd Powszechny”, wydawany przez zakon Jezuitów, a poświęcony przedewszystkiem kwestjom związanym z religją katolicką, lub pod tym kątem widzenia ujmowanym — oraz „Przegląd Współczesny”, wydawany przez Spółkę Wydawniczą, tak zasłużoną szeregiem cennych wydawnictw, że wspomniemy tylko „Bibliotekę Narodową”.

W październiku odbył się w Krakowie kongres Międzynarodowej Unji Intelektualnej, t. zw. F. I. D. U. I. Związek ten ma na celu skupiać elitę intelektualną różnych krajów, a jednym z najważniejszych ku temu środków są właśnie odbywane od czasu do czasu kongresy, wypełniane referatami i dyskusją nad poruszonymi przez prelegentów tematami. Na czele Unji stoi książę de Rohan, członek rodziny francuskiej, która, wyemigrowawszy w czasach wielkiej rewolucji do Austrii, zupełnie się zgermanizowała. Na Polskę prezesem tej Unji jest Aleksander Skrzyński, były nasz premier i minister spraw zagranicznych. Całą Unję otacza, jak łatwo można było się przekonać z jej kongresu krakowskiego, atmosfera mocno arystokratyczna. W gronie jej uczestników, którzy znaleźli się w murach naszego miasta, arystokracja przeważała, choć dzielnie równoważyła szalę, bardzo interesująca się Zjazdem inteligencji krakowska. Obrady otwarte zostały referatem krakowianina i znanego dramaturga, K. Huberta Rostworowskiego, p. t. „Wiara” i referatem o krytycyzmie Ramona Fernandesa, literata z „Nouvelle Revue Française”, przyjaciela Prousta i Rivière'a. Ogółem obrady miały wyznaczony kierunek przez określenie ich jako dyskusji na temat „zasadniczych podstaw ducha współczesnego” (Les attitudes fondamentales de l'esprit moderne”).

W programie licznych uroczystości, jakimi Kraków witał swoich gości, wymieniłem należy przedewszystkiem piękny koncert w Starym Teatrze z udziałem krakowskiego chóru „Echo”, pianisty B. Kona i Stanisławy Korwin Szymanowskiej. Niestety, o ile na wartości artystycznej tego koncertu poznała się publiczność krakowska (miejsca płatne zapełniono co do jednego), to część sali, przeznaczona dla gości, świeciła pustką — co więcej: pustoszała w czasie koncertu.

Jeżeli chodzi o Sztuki Piękne, to Kraków nie jest obecnie w swoim złotym wieku. Stolica odeiła nam aktorów, poetów, malarzy... Do Warszawy więc przeniósł się tej jesieni prof. Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, utalentowany malarz Kowarski, który pozostawił piękną pamiątkę — dekorację sufitu jednej z sal wawelskich. Drugi malarz Leon Chwistek, poszedł do Lwowa na katedrę uniwersytecką. Jest bowiem nietylko malarzem, lecz filozofem-matematykiem ze szkoły Russel'a, reprezentującym nowopowstającą logikę matematyczną.

Teatr krakowski, obecnie pod dykcją Teofila Trzcńskiego, znanego reżysera, zyskuje powodzenie u publiczności przedewszystkiem dzięki występom ar-

tystów scen warszawskich, w ich repertuarze. Więc mieliśmy przeszłego roku Junoszę-Stępowskiego i Jarczaka, w tym roku Leszczyńskiego. Ten ostatni urażony był nieco przyjęciem, jakie spotkało niektóre z przywiezionych przez niego sztuk, zwłaszcza sztukę Rapackiego „Czarujący emeryt”.

Z innych sztuk, wystawianych własnymi siłami naszego teatru, zasługuje przedewszystkiem na wspomnienie „Kordjan” — przygotowany na otwarcie sezonu, który jednak, prawdopodobnie dla braku odpowiednich aktorów, wypadł błado. Następnie „Przeprowadzka”, nowa sztuka K. H. Rostworowskiego, dramat, mający za tło środowisko robotnicze i drobnomieszczańskie. Sztuka ta jest razem z „Nie spodzianka” dowodem, że punkt ciężkości w zainteresowaniach tego poety z problemów o naturze filozoficznej i religijnej przeniósł się obecnie w sferę problemów społecznych.

Wreszcie trzecia sztuka z tych, które wybiły się na pierwszy plan — to Szekspira „Korjolan”, grany w epoce przedwyborczej i treścią swoją nasuwający recenzentom cały szereg aktualnych uwag i aluzji politycznych. „Korjolan” — jak wiadomo — jest historją genialnej jednostki, zmagającej się ze swoim społeczeństwem.

Nad tegoroczną jesienią krakowską zaciężyła przedewszystkiem epoka przedwyborcza, wszystkim sprawom i zainteresowaniom nadając swoiste piętno. Zwłaszcza ostatnie tygodnie zarzuciły miasto tysiącem afiszy, kartek i pouczeń przedwyborczych. Pozalepiano wszystkie parkany, a gdzie się dało — ściany i mury. Na bramach kamienic, na rogach ulic rzucały się w oczy kolorowo barwione wskazówki, w jakiej komisji i na jaką listę „głosują mieszkańcy tego domu”. O drugiej w nocy zwolennicy jednej listy rozlepiali swoje plakaty, o czwartej nad ranem zalepiali je swemi odezwaniami zwolennicy innych. Wystarczy przytoczyć, że jedno ze stronnictw zużyło w tym czasie około półtora tysiąca kilogramów kleju. Burzyła się gorąca krew młodzieży, połamano wiele lasek, powybijano trochę szyb w redakcjach pism i porozbijano wiele wieców. Reklamowano się ogromnie — choćby tem, że porozwieszano ogromne afisze: „nas nie stać na żadną reklamę”.

W dniu wyborów do Sejmu umilkły wszelkie hałaśliwe agitacje i burzliwe temperamenty. Głosowano uroczyście i z przejęciem. Miasto przybrało charakter świąteczny. Wszyscy urzędnicy komisji podkreślali ogromny udział kobiet. Nic dziwnego. Wszak na listach kandydackich do Sejmu i Senatu widniały trzy kobiety, wszystkie trzy — nauczycielki i znane działaczki społeczne. Mnóstwo osób głosowało jawnie. W niektórych dzielnicach szły parami do urny zakonnice. Wieczorem, gdy po skończonem głosowaniu P. A. T. zaczęła nadawać przez radjo pierwsze sprawozdania z wyborów — tłumy zapełniły, jak zwykle w niedzielę, kinoteatry i lokale rozrywkowe.

Wybory do Senatu przeszły z bardzo małym zainteresowaniem. Być może, iż huraganowy wicher, jaki wyprawiał swoje harce po ulicach Krakowa, zatrzymał w domu wielu wyborców.

Kraków uciszył się znowu i zapadł w coroczną drzemkę niepogód i wczesnych wieczorów jesiennych. Kiedy się zbudzi — niewiadomo. Być może, z pierwszym śniegiem ruszą się tłumy młodych narciarzy, trenujących po podmiejskich pagórkach z myślą o niedalekich zawodach w Krynicy, Zakopanem i Wiśle. Kraków stanie wtedy pod znakiem sportu.





Adam Bunsch: „Opowieść o kwiatach” (medal srebrny).

## PRZECHADZKA PO SALONIE 1930 R.

Salon Zachęty na rok 1930 nie wnosi nic nowego w pojęcia ogółu o polskiej sztuce współczesnej, a nawet może w nie wprowadzić pewną dezorientację, gdyż reprezentuje niemal wyłącznie ścisły realizm, z pominięciem innych, bardziej nowoczesnych kierunków.

Przytem, poza Kosakiem, brak na tegorocznym Salonie najwybitniejszych mistrzów malarstwa stalugowego. Ani Wyczółkowski, ani Weiss, ani Mehoffer, ani Kędziński nie nadesłali owoców swojej pracy. A wśród młodszej generacji, wiernej kierunkowi ściśle realistycznemu, zrzadka gdzie zauważyć można iskrę prawdziwego natchnienia.

Wśród paruset ekspozatów niema ani jednego, któryby porywał, a bardzo mało takich, któreby świadczyły o wysił-



Anna Römerowa: „Z kermaszu w Wilnie” (medal srebrny).

ku artystycznym w celu przełamania więzów szablonu i konserwatywności, choć niemal świadczą o rzetelnej pracy — w kieracie utartych, wydeptanych wiekami formułek.

Człowiek i natura, nieprzetworzone, żywcem przeniesione na płótno, zakłęte koło portretu i pejzażu, wnętrza i martwej natury, kwiatów i owoców, pozujących z równym wdziękiem i nie-naturalnością, jak większość tych pięknych pań, które zapragnęły się uwiecznić w najbardziej frapującej sukni i w najkorzystniejszym oświetleniu. Jako echo odległych walk z przed stu laty — trochę batalistyki. To prawie wszystko, jeśli chodzi o malarstwo. Ale i w tym szczupłym programie, z powodzi zabójczej przeciętności wynurza się gdzieniegdzie, jak wyspa



samotna, mocniejsza indywidualność. Przodują kobiety. Łuczyńska - Szymanowska, w swoim świetnym portrecie artystki dramatycznej Gelli, umiała środkami malarskimi nie tylko wydobyć na jaw charakterystyczne cechy psychiki modela, ale potraktować go jednocześnie, jako zadanie ściśle malarskie, rozwiązane z brawurą i z dużym poczuciem kolorytu.

Z doskonałym zrozumieniem portretu reprezentacyjnego potraktowała wizerunek nuncjusza Msgr. Marmaggię Helena Teodorowicz-Karpowska. Portrety Marji Koźniewskiej, Marji Bloombergh, Pii Górskiej idą po linii stałego doskonalenia się. Anna Römerowa w swoim „Kiermaszu w Wilnie” dała dwie typowe postacie: dziewczęcia i starej kobiety, związane w dekoracyjną całość postrem podłożem lukrowanych serc z piernika i słoneczników.

Z portretów, malowanych przez mężczyzn, ogólną uwagę zwracały dwie prace Jana Rudnickiego: olejny portret ministrowej Zaleskiej, utrzymany w tonach srebrno-popielatych, i subtelny wizerunek znanej piękności, pani Botterill (sangwina).

Nieco dziwaczna, ale pełna wyrazu kompozycja portretowa Stanisława Ignacego Witkiewicza może wzbudzić ciekawe refleksje na temat rozwoju tej zwartej indywidualności twórczej, która chodzi zawsze własnymi drogami.

W tradycyjnym stylu utrzymane są trzy minjatury Kazimierza Dąbrowskiej, z tych portrecik Marji Majdrowiczówny z chartem, przypominający zwiewne postacie Winterhaltera, ma dużo lekkości i uroku.



Kazimierz Dąbrowski: „Marja Majdrowiczówna” (minjatura).



Irena Łuczyńska-Szymanowska: „Portret art. dram. Marji Gelli”.

Dział krajobrazów ilościowo bogaty i poprawny. Skąpane w lazurze płótna Okunia z Raguzy i Rabu, polskie jesienie, zimy, wiosny, lasy, dworki i ruczaje — w rozmaitych oświetleniach i konfiguracjach — Ziomka, Kowalskiego, Kotowskiego, Lasockiego, Szczyglińskiego, Popowskiego, Rupniewskiego, Domaradzkiego i innych. Wnętrza naogół słabe.

Kobietą subtelnością ujęcia tematu odznacza się kompozycja Bunscha „Opowieść o kwiatach”.

W dziale rzeźby klasycznym spokojem i harmonią kształtów uderza „Tors” Alfonsa Karnego tak mocno, że aż sprawia wrażenie kopji antyku. Olga Niewska dała wyrazistą głowę majora Kubali, a Broniewska ciekawy, choć nieco makabryczno-średniowieczny cykl karykatur, pod postaciami półludzi, półptaków, mający symbolizować „Sejm”, „Protekcję”, „Miss Polonję”, „Pepek prasy”.

Popiersie Elizy Orzeszkowej, w drzewie rzeźbione przez Zerycha, ma zakrój monumentalny przy pewnej dążności do schematyzowania bryły (fryzura).

Grafika, która obecnie roznosi sławę polskiej sztuki po całym świecie, ukryta w zakonspirowanym saloniku. Przemysł artystyczny, a zatem ten dział sztuki, który wkracza w życie codzienne i decyduje o estetyce wnętrza, reprezentowany bardzo skąpo.

Najciekawiej i najobficiej przedstawia się t. zw. grafika użytkowa, wykonana w zakładach graficznych Straszewiczów w Warszawie pod kierunkiem artystycznym Marjana Szymanowskiego. S. P. O.



## OTWARCIE BIBLIOTEKI NARODOWEJ W WARSZAWIE

Dnia 28 listopada 1950 r. P. Prezydent Rzeczypospolitej w obecności p. Ministra W. R. i O. P. i innych członków Rządu, przedstawicieli nauki, bibliotekarstwa i twórcy Biblioteki — P. Stefana Dembego — dokonał otwarcia Biblioteki Narodowej i urzędowej przy niej wystawy najcenniejszych rękopisów, druków, autografów i opraw.

Dzień ten jest wiekopomny dla dziejów kultury polskiej, nawiązuje on bowiem do wielkich tradycji przedrozbiorowych, kiedy to w XVIII-ym wieku prywatnym sumptem Braci Załuskich powstała w Warszawie pierwsza Biblioteka Narodowa, licząca podówczas 500.000 tomów, a więc największa ze wszystkich współczesnych bibliotek w Europie. Biblioteka Załuskich, po rozbiorach w barbarzyński sposób wywieziona do Rosji, weszła w skład biblioteki petersburskiej.

Wiek XIX zaznacza się w całej Europie dążeniem do wyodrębnienia bibliotek narodowych, gromadzących dorobek umysłowy danego narodu. W Polsce w czasach niewoli niektóre biblioteki (m. i. Biblioteka Jagiellońska w Krakowie i Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie) pragnęły wziąć na siebie rolę „biblioteki narodowej“, lecz, z przyczyn od siebie niezależnych, celu tego nie osiągnęły. Dlatego też Wydział bibliotek państwowych przy Ministerstwie W. R. i O. P. od chwili swego powstania postawił sobie, jako jedno z najpierwszych zadań, stworzenie Biblioteki Narodowej i pod kierunkiem nieustraszonego naczelnika p. Stefana Dembego, gromadzi planowo, z nakładem wielkiej energii, materiały dla przyszłej Biblioteki i, dzięki temu, posiada ona dziś przeszło pół miliona druków, parę dziesiątków tysięcy rękopisów, sztychów, map i t. p.

W skład jej weszły: rękopisy i druki z byłej Biblioteki

Załuskich, Towarzystwa Przyjaciół Nauk i innych bibliotek polskich, rewindykowane z Rosji na zasadzie Traktatu Ryskiego; około 70.000 tomów Biblioteki Rapperswilskiej, około 9.000 tomów Biblioteki Batignolskiej, około 4.000 tomów Biblioteki Towarzystwa Demokratycznego i około 40.000 tomów Biblioteki Polskiej w Paryżu, dublety bibliotek uniwersyteckich oraz obowiązujące egzemplarze wszystkich bez wyjątku druków perjodycznych i nieperjodycznych, wychodzących na terytorjum Rzeczypospolitej Polskiej; ponadto wiele cennych księgozbiorów, otrzymanych w darze i nabytych w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Narazie mieści się Biblioteka Narodowa w świeżo powstałym nowoczesnym gmachu Wyższej Szkoły Handlowej. Główny fundusz Biblioteki stanowiły sumy, otrzymane przy likwidacji Skarbu Narodowego (przeszło 2 miliony). Obecny budżet roczny dochodzi do pół miliona złotych. Personel naukowy i pomocniczy liczy przeszło 40 osób.

Przy Bibliotece Narodowej czynny jest Instytut bibliograficzny.  
A. Kubicka-Stanisławska.

## Z ŻYCIA TOWARZYSKIEGO

### Uroczystość polsko belgijska.

W celu uczczenia stulecia niepodległości Belgii w dniu narodowego święta belgijskiego, odbyło się w salonach Resursy kupieckiej zebranie towarzyskie, urządzone przez Tow. polsko-belgijskie.

Prezes tego Towarzystwa, Karol hr. Raczyński, wygłosił przemówienie, w którym podkreślił szczerą i serdeczną przyjaźń, łączącą od stu lat Polskę z Belgją. W odpowiedzi poseł belgijski w Polsce, bar. de l'Escaille, podniósł fakt, że stulecie niepodległości Belgii zbiega się ze stuleciem powstania listopadowego, że zatem r. 1850 stanowi dla obu narodów datę bohaterkiej walki o wolność.

Po przemówieniach nastąpiła część koncertowa, w której prof. Kochański odegrał na skrzypcach kilka utworów belgijskich i polskich, a pani Modrakowska z właściwym sobie wdziękiem i ekspresją odśpiewała dwie pieśni Francka i parę pieśni kompozytorów polskich.

Zebranie zgromadziło poza członkami Tow. polsko-belgijskiego liczne koła towarzyskie stolicy i w miłej atmosferze przeciągnęło się do północy.  
S. P. O.

## Z TEATRÓW

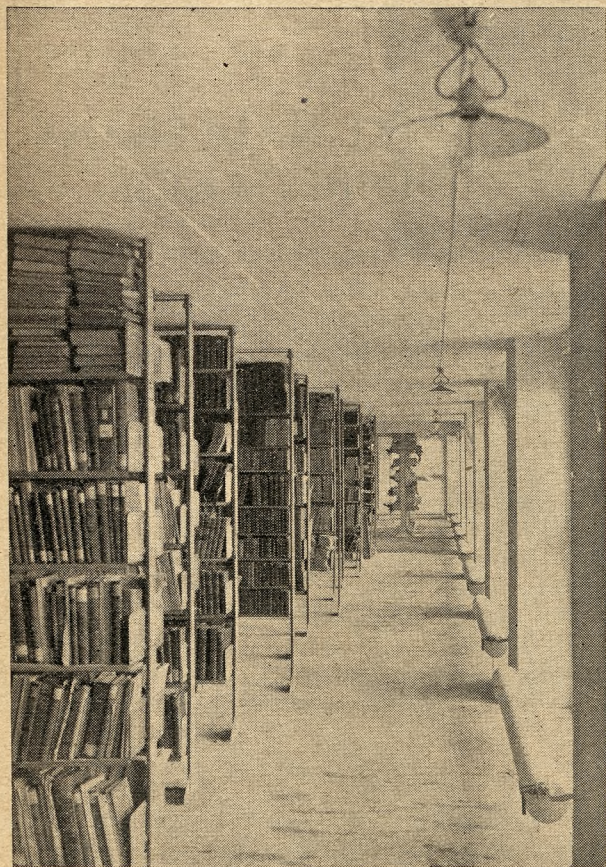
### TEATR ATENEUM:

„Ulica“ — sztuka w 3 aktach Elmera L. Rice'a. Przełożył St. Standé. Reżyserja Stefana Jaracza, dekoracje Ireny Lorentowiczówny, ilustracja muzyczna Henryka Gadomskiego.

Na premierze „Ulicy“ padło słowo: „reportaż dramatyczny“. Charakteryzuje ono trafnie podejście do tematu i jego ujęcie formalne, ale nie istotną treść utworu.

Autor postawił sobie za zadanie zamknąć dramat nawskroś nowoczesny w ramach trzech klasycznych jedności: czasu, miejsca i akcji. Czas: dwadzieścia cztery godziny życia jednej kamienicy; miejsce: odcinek ulicy przed domem; akcja: dramat rodzinny, wywołany przez to, co się nazywa czasem moralnością, czasem opinią publiczną, a zawsze przybiera ohydłą maskę skrytobójczej zbrodniarki — plotki — i ostatecznie doprowadza do katastrofy, do morderstwa w uniesieniu.

„Reportaż teatralny“ w drugim akcie rozrasta się do roz-



Fragment magazynów Biblioteki Narodowej.



miarów melodramatu, w trzecim wstępuje na koturny rezonera psychologiczno-społecznego i zawisa nad przepaścią typowej „pièce à thèse“. Zawisa, ale nie wpada w nią, właśnie dzięki doskonałej technice teatralnej i wyrazistemu rysunkowi postaci, z których każda ma odrębną twarz i żyje własnym życiem, choć myśli nieraz cudzemi kategorjami. Szablonem moralności operuje zarówno Moran, jak wszystkie kumoszki z kamienicy; szablonem rewolucyjnym posługuje się stary komunist, żyd Kapłan; wedle szablonu uczuciowego postępuje i Moranowa, i młody Samuel, i ci wszyscy zawodowi i przypadkowi uwodziciele, i te wszystkie kochające się, lub wzajemnie dręczące pary małżeńskie.

Tylko młoda Róża, osierocona córka tragicznego stadła, nie chce żyć według utartego szablonu. Zbyt blisko przyjrzała się rodzinnej niewoli, aby sama miała się w nią oddać dobrowolnie. „Ludzie nie powinni do nikogo należeć, tylko do siebie samych... Trzeba myśleć przedewszystkiem o tem, czem się jest samemu“.

W tych słowach zamyka się niejako podwójny rdzeń ideowy sztuki: jeden — to głos indywidualności, domagającej się swoich praw wobec zalewu uniwersalizmu; drugi — to protest przeciw istniejącym formom współżycia ludzkiego, które czynią zeń katogę i mordownię.

„Między człowiekiem a człowiekiem leży przepaść“ — powiedziała Nałkowska w „Domu kobiet“.

Skonstatowała nie bez żalu fakt, z którego Rice wyprowadził wniosek praktyczny: „Ludzie powinni należeć tylko do siebie samych“. Kobiety Nałkowskiej wszelkimi sposobami starają się tę przepaść samotności zasypać, — Róża Moran sama ją świadomie pogłębia.

Jest to jakby unowocześniona Nora. Tamta dawna, ibsenowska, wyszła z domu lalki, aby nigdy do niego nie wrócić. Ta wyrzeka się zgóry nawet możliwości domu w obawie, ażeby się nie stał dla niej więzieniem.

Sztuka była wyreżyserowana aż do najdrobniejszych szczegółów i zagrana świetnie. Dawno już nie doświadczało się tego dojmującego wprost wrażenia rzeczywistości, jak na przedstawieniu „Ulicy“. Skromnymi środkami swojego młodego zespołu i szczupłej sceny dyr. Jaracz wy dobył maximum efektu artystycznego. Zaznaczyć należy, że w pracy reżyserskiej wydatną pomoc okazała mu p. Perzanowska, odtwórczyni roli Moranowej. Z innych wykonawców, poza mistrzowskim Moranem-Jaraczem, wyróżniła się Drabikówna w trudnej roli Róży, Buczyńska, Chmielewski, jako Kapłan, Zawistowski w roli młodego Samuela.

Dekoracje Ireny Lorentowiczówny ciekawie rozwiązały problemat szczupłej przestrzeni i wykazały wybitne zdolności młodej artystki w tym kierunku.

Wszędzie te kobiety!...

S. P. O.

#### TEATR MAŁY.

„Lekarz bezdomny“ — sztuka w 3 aktach Antoniego Słonimskiego. Reżyserja K. Borowskiego. Dekoracje K. Frycza.

O wolność wewnętrzną człowieka z pasją upomina się Słonimski w „Lekarzu bezdomnym“. Ale czyni to środkami scenicznymi nieudolnymi. Pasja zabiła w nim najpewniejszy oręż satyryka społecznego: ironję. Szlachetna ambicja zdobycia rycerskich ostróg polskiego Shaw'a, skończyła się skrusem kopji o drzwi dawno otwarte.

Humanitaryzm! Wielkie i piękne słowo; szczególnie, jeżeli je przeciwstawimy chamstwu z jednej, a obłąkańczej demagogii z drugiej strony. Ale jakże żałośnie on wygląda w postaci doktora Wernera, który dwadzieścia sześć lat pozwala swej kucharce spać na kamiennej podłodze, a dopiero, gdy zachorowała na nerki, funduje jej... łożko żelazne.

Gdyby dr. Werner miał być Tartuffem humanitaryzmu

ten rys byłby subtelnym przyczynkiem do jego charakterystyki; ale ponieważ autor czyni zeń idealnego rezonera, wygląda to na niedbalstwo kompozycji, na przeoczenie.

Takich niedociągnięć, przeciągnięć i nienaturalności dużo znaleźć można w rysunku pozostałych postaci. Sposób demaskowania natury ludzkiej zapomocą fałszywego Rembrandta — brutalny, prymitywny i zatracający farsą.

Czemu przypisać to nieprzebieganie w środkach? Jednostronnemu stosunkowi uczuciowemu do swoich bohaterów. Słonimski-humanitarysta naprawdę oduczył się kochać — umie tylko się oburzać. A potem za dużo w tem wszystkim mózgu i papieru, za mało tego, co przywykliśmy nazywać zdrowym instynktem scenicznym. Słonimski jest zanadto inteligentny i zanadto dowcipny, aby był dobrym dramaturgiem. Myśl zabiła w nim instynkt.

Nowoczesny Djogenes w papierowej dżungli ludzkiej, jaką nam przedstawia, znalazł tylko jednego żywego człowieka: starą „kuchtę“ Wiktorję i dwa „sympatyczne“ typy: lichwiarza Dawida i moskala Triepowa, który przeszedł wszystkie okropności bolszewickie, ale zwarjował dopiero przy wyrabianiu sobie dowodu osobistego... w Polsce.

Przypadek, czy „wahlverwandschaft“ zdecydował o tym wyborze? Słonimski jest zanadto inteligentny i samodzielny w myśleniu, aby go można było posądzać o uleganie przypadkowi.

Sztuka była zagrana nierówno. Świetni byli tylko: Czaplńska, Małkowski i Maszyński w rolach „ludzi żywych“. Martwe dusze pozostały martwymi duszami.

S. P. O.

Następny numer „Bluszczo“ będzie numerem specjalnie poświęconym stuleciu romantyzmu i ukaże się między 13 a 16 grudnia w objętości podwójnej, jako Nr. 50 i 51, z datą 13—20 grudnia.

Nr. 52, świąteczny, z datą 27 grudnia, będzie doręczony Czytelnikom naszym przed Świątami Bożego Narodzenia.

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SP. AKC.

Marja Dunin-Kozicka: „Ania z Lechickich pól“. Dzieciństwo.

NAKLADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.

Książki dla młodzieży.

E. Atkinson: „Gobik od Franciszkanów“. Przekład autoryzowany dr. Marji Przyborowskiej — ilustracje Kamila Mackiewicza.

Elżbieta Schmidt-Pauli: „Chleb i róże“. — Opowieść dla młodzieży o św. Elżbiecie. Ilustrowała Marja Jaroszyńska.

Helena Pagès: „Siewca radości“. — Opowieść dla młodzieży o życiu św. Filipa Nereusza. Ilustrowała Marja Jaroszyńska.

Stanisław Ochocki: „Tajemnicza dziewczynka“ — powieść dla młodzieży. Z ilustracjami Kamila Mackiewicza.

W. Bonsels: „Marek w lesie“. Przekład autoryzowany Heleny Sroczyńskiej. Ilustrował Kamil Mackiewicz.

NASZA OKŁADKA.

Z powodu przypadającego w dniu 8 grudnia święta Niepokalanej Panny dajemy na okładce kopję Madonny z Poklonu Trzech Króli Domenico Ghirlandaio, jednego z mistrzów włoskiego Odrodzenia.



## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### WYŚCIG PRACY.

Kobiety nie na żarty biorą się z życiem za bary. Pracują już dziś na wszystkich polach. Częstką zaledwie ich zajęć pozostały dawne rzemiosła i zawody: krawiecczyzna i gospodarstwo. To ostatnie zresztą traktowane jest już naukowo, jak to pokazuje nasza rycina, na której uczennice kolegium gospodarskiego w Anglii, panny ze stopniem uniwersyteckim, odbywają praktykę nowoczesnego mleczarstwa. Poniżej widzimy, jak pracuje jubilerka, a obok najnowszy wynalazek: stenopistka słucha komunikatu przez radio, zapisując go odrazu na maszynie..

Praca wre wszędzie, byle nadążyć za szybkim biegiem życia, rozwijając jednocześnie inicjatywę, utrzymując własną pracą tę zdobytą samodzielność.

Trudno jest wyobrazić sobie nawet, jak wyglądałby świat bez pracy zawodowej kobiet. I naprawdę niepotrzeba sobie tego wyobrażać. Kobiety zawsze zawodowo pracowały. Cała różnica w tem, że dawniej robiło się wszystko oddzielnie w każdym domu, dla każdej rodziny. Dziś robi się poza domem i masowo dla wszystkich. Kobieta jednak pracowała wtedy, tak samo, jak pracuje dziś.





UDZIAŁ KOBIET W ZJEŹDZIE HISTORYKÓW POLSKICH.

Od dn. 28 listopada do 4 grudnia 1930 r. obradował w Warszawie V Powszechny Zjazd Historyków Polskich pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Pana Prezesa Rady Ministrów Marszałka Józefa Piłsudskiego i Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Sławomira Czerwińskiego.

Zjazd rozpoczął się od uroczystego otwarcia Biblioteki Narodowej dn. 28.XI b. r. o godz. 11-ej rano i zebrania towarzyskiego uczestników Zjazdu w salach Tow. Mił. Hist. tegoż dnia wieczorem. Zakończył się w dn. 4 grudnia b. r. wycieczką na pola bitew pod Ostrołęką i Pułtuskim oraz pod Radzyminem.

Obradowały 4 sekcje: 1. Historia powszechna. 2. Historia dawnej Rzeczypospolitej. 3. Dzieje walk o niepodległość. 4. Nauczanie historii.

W pracach Sekcyj intensywny udział brały kobiety, wygłaszając na zjeździe szereg bardzo ciekawych referatów:

Pp. Charewiczowa Łucja (Lwów) — Znaczenie badań planów miast dla ich historii.

Moszczeńska Wanda (Warszawa) — Z metodyki badań nad epoką najwcześniejszego średniowiecza.

Prof. Daszyńska-Golińska Zofja (Warszawa) — Komunikat w sprawie sekcji historii ludności w International Congress Historical Sciences.

Karwasińska Jadwiga (Warszawa) — Odtworzenie archiwów dawnej Rzeczypospolitej.

Lechicka Jadwiga (Łódź) — Nieznany traktat ustrojowy z czasów saskich.

Więckowska Helena (Warszawa) — Przemiany myśli politycznej w Królestwie Kongresowem.

Krzemicka Zofja (Lwów) — O potrzebie opracowania monografii krytycznej Ryszarda Spaziera.

Radlińska Helena (Warszawa) — Postulaty w sprawie nauczania historii na stopniu średnim.

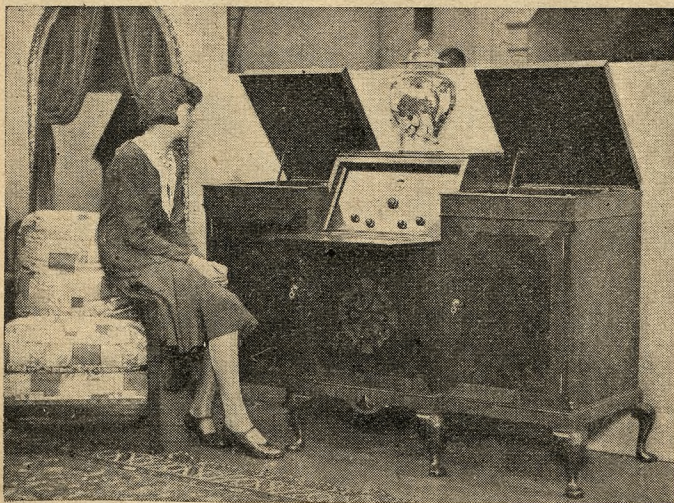
Mrozowska Halina (Warszawa) — Środki pomocnicze w nauczaniu historii.

Małczyńska Ewa (Lwów) — O roli książki historycznej w pracy szkoły średniej.

Pohoska Hanna (Warszawa) — Stan nauczania historii zagranicą.

NOWY SPRZĘT MUZYCZNY.

Zamiast fortepianu, widzimy zupełnie nowożytny instrument salonowy: piękna ta inkrustowana komoda, ozdobiona oryginalnym wazonem, to elektryczny radjo-gramfon, demonstrowany ostatnio na wystawie radjofonicznej w Ameryce.



Radjo i gramofon połączone.



Ulica w Ljonie, zburzona przez katastrofę obsunięcia się ziemi.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Kula ziemiska weszła znów w tym roku w okres katastrof żywiołowych. Zaledwie zaczęły zacierać się ślady trzęsienia ziemi we Włoszech, gdy zdarzyło się nowe nieszczęście, tak dziwne, że trudne do wiary. Cała dzielnica pięknego bogatego miasta Ljonu została zburzona, poprostu domy runęły, obsunęło się wzgórze, a liczne ofiary zostały pogrzebane pod gruzami. Przyczyną tej katastrofy było podmycie gruntu przez strumień podziemny.

I zaledwie tydzień upłynął od wypadku w Ljonie, nadeszły wieści o trzęsieniu ziemi w Japonji.

Po ostatniej, wielkiej katastrofie z 1923 r. Japonja dokażała cudów, odbudowując całe miasta, dźwigając z ruiny rolnictwo i przemysł. Obecnie znów tajemniczy żywioł podziemny niszczy ludzkie wysiłki.

Jednocześnie dało się odczuć trzęsienie ziemi i w Persji. Stolica jej, Teheran jest prawie zburzona, mieszkańcy założyli obozowiska pod gołym niebem, za miastem, liczba ofiar bardzo wielka, nie jest jeszcze ustalona.

Zato kraje wolne od katastrof, społeczeństwa, mogące w spokoju oddać się kulturalnej pracy, wołać się wiatr, z pełną świadomością zbierania burzy. Niemcy nie ustają w pracy wywoływania zamętu i napaściach na Polskę. Rozdrażnieni zmniejszoną ilością swych mandatów do Sejmu, spowodowali na Śląsku szereg awantur, zakończonych śmiercią dwóch polaków. Przyczem uważają jeszcze, że to naród niemiecki poniósł krzywdę, którą zamierzają wnieść przed forum Ligi Narodów.

Jednak dzban nosi wodę do czasu.



## ESTETYKA, PROSTOTA I PRAKTYCZNOŚĆ

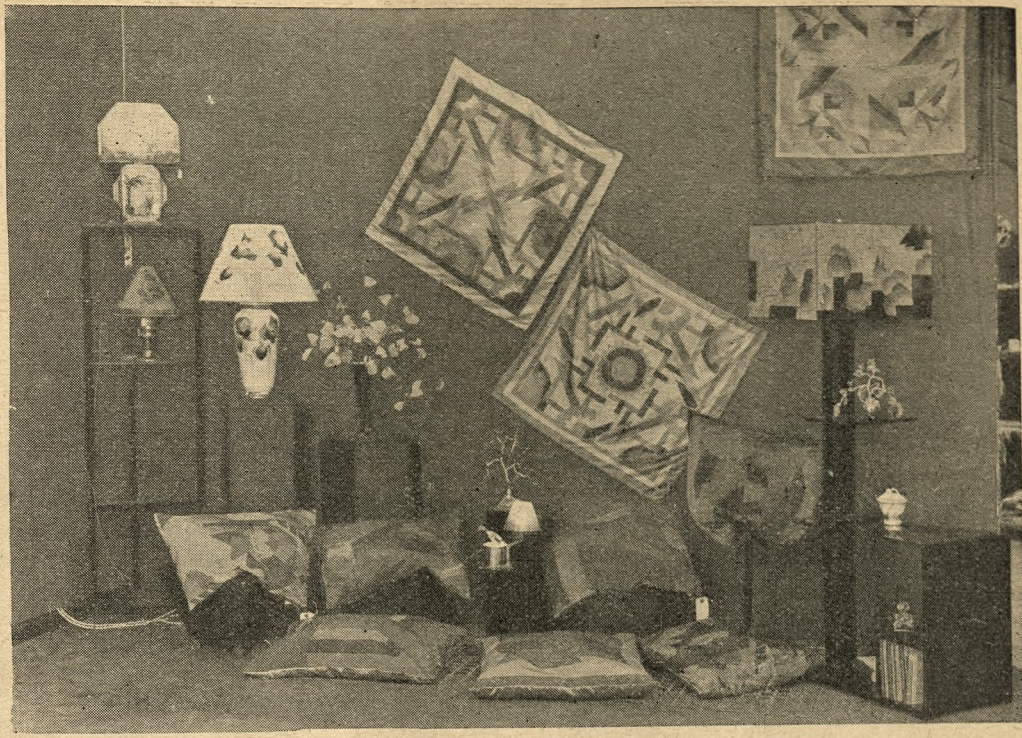
OTO KANONY NOWOCZESNEGO  
WNĘTRZA.



Fragment wnętrza z wystawy Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej.

Zagadnienie współczesnego wnętrza mieszkalnego przechodzi znamienny proces krystalizacji. W procesie tym walczą ze sobą dwa pozornie sprzeczne czynniki: utylitaryzm i estetyka, od których należytego uzgodnienia zależy to, co możnaby nazwać „wnętrzem przyszłości”.

Zmienione warunki życia nowoczesnego, powszechny głód mieszkaniowy, szczupłość i ciasnota wnętrza, konieczność umiejętnego wykorzystania przestrzeni powietrznej i najmniejszego skrawka powierzchni podłogi, ścian i sprzętów — w logicznym następstwie doprowadziłyby powinno do celowych uproszczeń w urządzeniu, do krańcowej prostoty brył i surowości linii w sprzętach. Względy przedewszyst-



Wyroby artystyczne Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej na wystawie u B-ci Jabłkowskich.

kiem praktyczne i higieniczne przemawiają za usunięciem z typowego nowoczesnego wnętrza obiektów malarstwa stalugowego, ciężkich kotar, draperyj, firanek, nadmiaru wyściełanych mebli, serwetek, sztucznych (papierowych lub jedwabnych) kwiatów, abażurów z papieru lub tkaniny, wszelkich zbędnych ornamentów drzewnych na meblach — jednym słowem tego wszystkiego, co może się stać zbiorowiskiem trudno usuwalnego kurzu i balastem, przyczyniającym się do zwalniania błyskawicznego tempa życia dzisiejszego.

Tapczan — oto jedyny wyściełany mebel, któremu przyznano prawo obywatelstwa we współczesnym wnętrzu; tapczan, który w nocy jest łóżkiem, we dnie sofą, służącą do wypoczynku, pracy, pogawędki — sprzęt, pokrywany na dzień łatwo dającą się strzepać i oczyścić tkaniną, makatką, kilimem, zarzucony pstremi poduszkami, których przypadkowy lub rozmyślny układ w każdej chwili może być zmieniony; tapczan, ten symbol połączenia przyjemnego z pożytecznym, którego zjawienie się w najbardziej nawet pustym i „nieurządzonym” pokoju wnosi doń pierwiastek ciepła, przytulności, wesela barw, pogody, jednym słowem tego wszystkiego, co zwykliśmy kojarzyć z pojęciem miłego mieszkalnego wnętrza.

Niezbędnym uzupełnieniem tapczana są poduszki, stolik i lampa. Poduszki dziś najmodniejsze z fantastycznych, ale gustownie połączonych kawałków różnokolorowej materji, tworzących razem kompozycję malarską w stylu kubistycznym. Ta sama zasada stanowi „l'ordre du jour” dla chustek jedwabnych, które mogą być używane już to jako apaszki, już to jako serwetki, makatki, zarzucone na lampę.

Prawdziwie nowoczesna lampa obywa się jednak bez szmatek. Postument drewniany, metalowy, porcelanowy lub szklany uwieńczony jest abażurem w kształcie sześciąna, ściętego ostrokąta lub kuli, wykonanym całkowicie ze specjalnie spreparowanej



półprzejrzystej masy, przypominającej sztywny pergamin. Tego typu abażury, zdobne w barwne motywy geometryczne, roślinne lub zwierzęce, mają dwie ważne zalety; rozkosznie tonują światło żarówki i dają się myć w wodzie bez żadnych specjalnych niebezpieczeństw i zachodów.

Ten sam gospodarski régime stosować można do kwiatów i liści sztucznych, tych srebrzystych płatków, koralowych łez i kapryśnych kielichów, które zwisają na ledwie dostrzegalnych prątkach, wyczarowane fantazją ich utalentowanej twórczyni, pani Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej.

Stolik... ten nowoczesny odpowiednik rokokowego „bonheur du jour“, nie ma żadnych skrytek. Jest gładki i odkryty, jak czoło modnej pani, która, w przekonaniu, że nie tak nie plami kobiety, jak atrament, nie pisze i nie chowa listów. Zamiast nich ma dyskretnego powiernika: telefon, który zajmuje honorowe miejsce na podręcznym stoliku. Trochę książek, jakiś egzotyczny potworek, „wieczne“ kwiaty w metalowym wazonie. (Nowoczesna kobieta jeśli pielęgnuje, to tylko szorstkie kaktusy). Na wysuwanym blaciku można postawić przybór do palenia lub do czarnej kawy.

W takim rozumieniu wnętrza skomponowana była wystawa wyrobów artystycznych Zofji Raczyńskiej w magazynie B-ci Jabłkowskich. Swoisty wdzięk i styl kojarzył się w nich z praktycznością, o której ani na chwilę nie może zapomnieć kobieta dzisiejsza w walce o prawo do własnego i estetycznego ogniska domowego.

S. P. O.



## PILNA SPRAWA

Kiedy snujemy już projekty świąteczne wypraw w górskie krainy, korzystania w pełni ze sportów zimowych — nasuwa się nam jedna niepokojąca refleksja: a co będzie z ubraniem? Bo przecież kobieta w sporcie pozostanie zawsze kobietą i nie zniosłaby tego, żeby miała być nieodpowiednio ubrana.

Nie można sprawy ekwipunku sportowego odkładać do ostatnich dni przedświątecznych — trzeba o tem pomyśleć już teraz.

Oczywiście, piękna pani wybiera się na narty. Dziś nie można nie jeździć na nartach tak, jak nie można nie grać w bridża, lub nie tańczyć. Wiele pań zaczyna jeździć na nartach, bo to jest modne, ale potem już za nie porzuci tego sportu, choćby nawet narty znalazły się w indeksie towarzyskim. Sport narciarski jest bowiem czemś, co porywa, czemś, co staje się nałogiem, z którego wyrwać się nie można.

Utarło się tylko przekonanie, że narty są bardzo kosztowne. Rzeczywiście, rozpoczęcie sportu narciarskiego wymaga szeregu dużych wydatków, natomiast później wydaje się bardzo niewiele, gdyż członkowie zrzeszeń narciarskich posiadają zniżki na kolejach i w schroniskach.

Pierwsza część ekwipunku — to narty. Nie radzę jeździć na pożyczanych: są zwykle źle dopasowane, nie dają maximum przyjemności. Uciekniemy się

do tego tylko w ostateczności. Trzeba jednak dążyć do własnych nart.

Kupienie nart nie jest rzeczą łatwą — najlepiej zwrócić się o pomoc do „fachowca“. Kupimy, oczywiście, zwykle, krajowe, jesionowe deski z wiązaniem typu Zubka, lub im podobnymi. W roku bieżącym powstało wiele nowych wytwórni nart; wiem, że np. fabryka nart w Bielsku sprzedaje narty za cenę około 40-stu złotych, co przecież równa się cenie pary eleganckich rękawiczek, więc chyba zbytnio budżetu nie obciążą.

Jeżeli zamawiamy narty listownie, należy podać wymiar (narta powinna sięgać do połowy dłoni wyciągniętej w górę ręki). Osoby szczupłe i lekkie mogą od tego wymiaru odjąć 5 cm.; osoby bardzo masywne — dodać.

Po nartach, najważniejszą częścią ekwipunku są buty. Tego wydatku uniknąć niepodobna, gdyż buty narciarskie mają kształt specjalny. Są to buty o grubej przeszło na centymetr podeszwie i kwadratowych nosach. Kupując, należy uważać, aby w środku były podbite skórą, gdyż inaczej łatwo przemakają. Buty takie dostaniemy w miejscowościach „narciarskich“ oraz w sklepach sportowych w każdym mieście. Trzeba tylko pamiętać, że buty należy mierzyć na grube (nawet lepiej podwójne) wełniane skarpetki. Skarpetki takie dostaniemy też w sklepach sportowych.

Również nieodzowną częścią stroju narciarskiego są spodnie. Na początek, gdy i tak dużo wydamy na buty i narty, można poprzestać na sportowych spodniach brata czy męża. Musimy tylko nosić do nich grube wełniane pończochy. Najestetyczniejsze jednak dla kobiet są spodnie długie, t. zw. norweskie. Jest to już specjalny fason, to też zwykły krawiec nie zrobi ich dobrze. W każdym większym mieście jest jednak taki specjalista, zresztą w sportowych sklepach można nabyć gotowe spodnie.

Dotąd pisałam o rzeczach bezspornych; teraz kwestja, trudna do ustalenia: bluza. Wadą początkujących narciarek jest to, że ubierają się zbyt ciepło; na nartach zaś łatwiej jest zgrzać się, niż zmarznąć. W doborze tej części stroju musimy przede wszystkim kierować się tem, co mamy w domu. Ponieważ wełniany pullover nie jest praktyczny, gdyż trudno otrząpać go ze śniegu, więc lepiej zaopatrzyć się w jakąś kurtkę. Może to być męska kurтка sportowa, może być wełniany żakiet od kostjumu, a najlepsza bodajże będzie kurтка, zrobiona z nieprzemakalnego płaszcza. Nietrudno chyba o stary płaszcz (byle nie gumowy), który obcinamy tak, aby otrzymać dość długą kurtkę. W sklepach sportowych są specjalne t. zw. wiatrówki — bluzy, zrobione z brezentu, bądź z nieprzemakalnego jedwabiu, zapinane ściśle pod szyję, i ujęte w pasie na gumkę. Jest to już jednak raczej strój wycieczkowy, zanim zaś która z pań dojdzie do takiej perfekcji, że będzie mogła uczestniczyć w dłuższych wyprawach, napewno już zapozna się sama z zaletami i wadami każdego rodzaju ekwipunku.

Jeżeli kurтка taka nie będzie ciepła, można pod nią włożyć bądź flanelową bluzę (bardzo praktyczną), bądź też jedwabną bluzkę i wełniany pullover. Do szuku sportowców z gór, a nie tych „z Krupówek“, należało, aby pullover był niezbyt jaskrawy (genre „męski“), natomiast bluza flanelowa może być jaskrawa. Oczywiście, biały kolor jest wykluczony, gdyż na śniegu wygląda brudno. Jeżeli pullover jest w spokojnych barwach — ożywiamy go kolorowym szalikiem. Muszę jednak zastrzec, że szalik nie jest rzeczą



konieczną, przeciwnie, czasem bardzo zawadza i przywozi się go w kieszeni.

Czapki są różne: berety, pilotki, lub czapki z daszkiem. Najpraktyczniejsza jest stanowczo czapka narciarska, t. zw. „kominiarka“ z daszkiem, gdyż zasłania oczy od nadmiernego blasku. Tutaj jednak musi rozstrzygnąć przedewszystkiem wzgląd, w czym komu „do twarzy“. Trzeba pamiętać jednak, że osobom, bardziej wrażliwym na blask światła, nie wystarczy daszek u czapki, a będą musiały sprawić sobie ciemne okulary z miki.

Niezbędną częścią są też rękawiczki. Najlepiej jest mieć zwykle wełniane (ewent. wełniane o dwóch „palcach“), a na nie długie rękawice brezentowe, które znów w każdym sportowym sklepie dostaniemy.

Wreszcie ostatni szczegół który musi być zharmonizowany z szalikiem, czapką i pullowerem — to owijaki, czyli t. zw. z cudzoziemska „pieksy“. Są to krajki, które owijają się nogi w górę buta, tak aby śnieg nie dostawał się do butów. Przy spodniach krótkich nie będą już potrzebne.

Kompletując w ten sposób ekwipunek narciarski, trzeba jednak pamiętać, że im będzie on skromniejszy, tem mniej będzie widoczna sylwetka początkującej narciarki, niezgrabnie przewracającej się w śnieg.

W. P.



## W PRZEDDZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA

W przeddzień Bożego Narodzenia mówić lub pisać o oszczędności — to nieomal że wcielić się w rolę straszaka, który ma dar gaszenia najradośniejszego uśmiechu!

A jednak nigdy może sprawa drobiazgowej oszczędności nie staje się tak aktualna, jak w roku 1930 — w okresie, którego nastroje wyzwalały uspio- nie ciężkimi warunkami niedobitki tak zwanej „lek- komyślności“. Ona to jest właśnie patronką radosnych okrzyków i śmiechu, które rodzą się pod choinką i opromieniają krótkie, a najmiłsze w ciągu całego roku Święta Bożego Narodzenia.

Któraż z nas nie zna posmaku tego przedziwnego tygodnia, owianego zapachem świeżego igliwia — tygodnia, w którym odsuwa się wszelkie przebłytki rozsądku, a goni jedynie wizję uśmiechu, jakim rozblęsną kochane oczy na widok ucieleśnionego marzenia!

Po tem oszołomieniu przedświątecznych dni przychodzi najczęściej smutne przebudzenie. Radość gaśnie prędej, niż troska. Upragnione przedmioty, których posiadanie grało w marzeniu tak przodującą rolę, powszednieją, a pozostaje niezagojona rana, przez którą uszła z naszego biednego budżetu krew najserdeczniejsza.

O ile w latach ubiegłych było „ciężko“, a roz- wagę w obliczu nadprogramowych wydatków zali- czało się do cnót „wskazanych“, o tyle dzisiaj każdej prawie z nas jest ciężko ponad wszelką miarę, a dro-

biazgową oszczędność wpisałyśmy już dawno nie pod rubrykę „wskazana“, a „niezbędna“.

I oto w gmach, tak starannie wnoszony siłą roz- sądku i smutną siłą nieuchylonej konieczności, skie- rowane są dzisiaj druzgoczące pociski.

W powietrzu krążą fluidy, podkopujące cnotę wstrzeźliwości. Zatrzymują oko strojne wystawy; świetlne reklamy mrugają porozumiewawczo i otwie- rają się naścieżaj wrota do krainy tysiąca możliwo- ści, tej ziemi zakazanej dla ludzi, którzy przeżywają ciężki kryzys ekonomiczny.

Zdawałoby się, że z tych elegijnych nastroi nie- ma innego punktu wyjścia, jak powziąć niezłomne po- stanowienie uzbrojenia się przeciwko nastrojom świątecznym. A więc, jakże? Żadnych podarków, żadnych słodyczy, żadnych wykroczeń poza szablon dnia codziennego?

Ale oto sięgamy po broń obosieczną. Dla nas — spokój nienaruszonego budżetu; dla dzieci naszych — najserdeczniejszy z zawodów; dla kupiectwa — je- szcze jedna kłeska materialna, która dla wielu firm stałaby się ostateczną zagładą.

Więc, jak wybrnąć z tego zawilego problemu? Jak radzić, aby nie załamać linii rozsądku, a nikomu nie wyrządzić krzywdy niepowetowanej?

Przedewszystkiem — uwzględnić dzieci. Na ołta- rzu ich radości złożyć cały materialny wysiłek, na jaki zdobyć się jesteśmy w stanie; jednak zużytkować go w ten sposób, aby oprócz radości przyniósł jeszcze i pożytek.

W dzisiejszych ciężkich warunkach nie wolno nam sięgać po podarki luksusowe i bezcelowe. Za- ledwie jakaś bagatelka, która ożywi solidność po- darku, podstawowy zaś podarek, obciążając budżet, niechże ulży mu jednocześnie przez fakt ofiarowania rzeczy pożytecznej, bez której i tak nie możnaby się obejść, a która nabierze swoistego uroku i znaczenia, ukazując się pod etykietą gwiazdkową.

Tej samej wytycznej powinniśmy się trzymać zarówno i przy obdarowywaniu osób dorosłych, zry- wając raz na zawsze z fatalnym systemem bezmyślnego ofiarowywania banalnych drobiazgów, nabywa- nych w ostatniej chwili, które w najlepszym razie leżą bezużytecznie, nie dając ani zadowolenia, ani pożytku, a niejednokrotnie wędrują w świat przy pierwszej okazji, jaką jest najczęściej loterja fantowa, kiermasz dobroczynny i t. p.

Zerwałyśmy już wszak z tyłoma przesadami, zdezonizowałyśmy tyle przejawów „wypada“ i „nie- wypada“, że doprawdy trzymać się gorączkowo: wa- zoników, flakoników, figurek, koszyczków z kwia- tami, osadzonemi na drutach, lub pierwszej z brzegu rośliny doniczkowej, która zmarnieje w przeciągu krótkiego czasu — jedynie dlatego, że są to podarki „od- powiednie“, nie nazbyt „poufale“, otoczone niesłusz- nie nimbem pewnej elegancji — to już rzecz zgoła zbyteczna. Sądzę, że podarek, dany komuś z prostego poczucia obowiązku, lub tak niesłusznie uznawanej konieczności odwzajemnienia się, podarek zimny, bez- myślny — to ciężar i dla ofiarodawcy i dla obdarowa- nego. Trzeba umieć wczuć się w czyjeś potrzeby, przyzwyczajenia, w braki, jakich sam nie jest w moż- ności zapełnić, a wtedy zawsze znajdziemy coś nie- przekraczającego nasze środki materialne, coś, co wywoła prawdziwą radość i da prawdziwy poży- tek. Idealnym systemem jest notowanie na dłuższy czas przed okresem świątecznym podpatrzonych, lub podsłuchanych pragnień osób, które obdarować za- mierzamy. Jeżeli okazja nie nadarzy się sama, jakże



łatwo wywołać odruchowe zwierzenia, naprowadzając rozmowę na odpowiednie tory, a później już tylko zanotować, lub zapamiętać i nie odkładać nabywania podarków na ostatnią godzinę, kiedy to w pośpiechu i chaosie, panującym w magazynach, spokojny, rozważny wybór staje się prawie niemożliwy.

Obawa przekroczenia budżetu nie kończy się z chwilą opanowania sprawy podarunków. Pozostaje jeszcze uczta wigilijna i jadłospisy dni świątecznych, które są równie niebezpieczną zasadzką. Czyż doprawdy ubliżymy tradycji, jeżeli na stole naszym nie ukaże się uświęcona zwyczajem ilość półmisek i brygada butelek? Czy pierwsze święto nie może się obejść bez indyka, kosztownych bakalij, zbyt kosztownych ciast? Czy nie stokroć miłsza jest pogoda, niezamącona obawą o najbliższe tygodnie, poczucie zachowanej równowagi, niż ten szeroki gest, którego źródłem jest przysłowiowe „zastaw się, a postaw się”, przysłowie, z którym należałoby już zerwać raz na zawsze!

Listę świątecznych zakupów trzeba opracować z głębokim namysłem. Zacząć od zestawienia jadłospisów, uwzględniając wieczór wigilijny, pierwsze, drugie i trzecie święto; przeliczyć potrzebne produkty na pieniądze i zbadać sumiennie stosunek podsumowania do budżetu, a wtedy dopiero na podstawie wynikających różnic (te są nieuniknione!) zabrać się do koniecznych redukcji, nie zasłaniając się przed samą sobą tak często, a tak niesłusznym twierdzeniem, że naszą powagę, prestige naszego domu, obniży fakt podania jednej ryby, lub skreślenia z listy zakupów kosztownych południowych przysmaków, bez których nie mogą, jakoby, obejść się bakalje.

Nie, doprawdy uroczystość dni świątecznych nie ucierpi przez te maleńkie nieraz, a tak doniosłe w skutkach skreślenia, przez pozorne tylko braki, które tak łatwo zastąpić precyzyjnym obmyśleniem, przyrządzeniem i podaniem potraw świątecznych. Na to jednak trzeba dużo rozwagi i docenienia drobiazgowo oszczędności, jakiej, przynajmniej się szczerze, nietylko nie mamy w naturze, ale nauczyć się nie chcemy!

Pani Marja Ankiewiczowa wykazała niepowądną dozę subtelnej intuicji, obierając za temat pogadanki, wygłoszonej przed mikrofonem w dniu 4-ym b. m., konieczność lekceważenia drobiazgow, które w każdej dziedzinie, a w dziedzinie oszczędności w pierwszym rzędzie, jest tak doniosłe, zarówno w ujemnych, jak i dodatnich wynikach. Zaprośnienie pań-słuchaczek i sympatyczek Działu Kobiecego w Polskim Radjo do wzięcia udziału w ogłoszonym przez panią Ankiewiczową konkursie, wzbudzi niezawodnie żywe zainteresowanie, które nie pozostanie bez echa. Z pośród nadesłanych referatów, których autorki omawiać będą doniosłość dobrze zrozumianej i zastosowanej oszczędności — zarówno w gospodarstwie domowym, jak i w życiu wogóle — specjalna komisja zakwalifikuje najlepszy, który zostanie odczytany przed mikrofonem, jak również i „złote myśli”, wyłowione ze wszystkich nadesłanych prac.

Referaty należy nadsyłać w ciągu miesiąca od dnia wygłoszenia pogadanki, podpisując je pełnym imieniem i nazwiskiem; uczestniczki konkursu są prośzone o dołączenie adresu i wymienienie zawodu.

Treść pogadanki łączy się w nierozzerwalną całość z dniem oszczędności, jaki obchodzić będziemy 7-go b. m., omawia bowiem praktycznie ideę oszczędności, której woelenie w życie przez jedynostki, bez różnicy stanu i uposażenia, stanie się kamieniem węgielnym lepszego jutra. Będzie to równocześnie doskonałe przygotowanie do świątecznego opanowania.

Wanda Dobrzańska.

## PRZYSMAKI ŚWIĄTECZNE

Czas, oczekiwany niecierpliwie przez dzieci całego świata chrześcijańskiego, czas, kiedy i dorośli stają się równie łakomi, jak dzieci — staropolskie „Gody“ (od dnia Wilji aż do dnia Trzech Króli) — ma swoje, wieloletnią tradycją uświęcone, przysmaki, których w żadnym domu, mniej więcej dostatnym, w tym okresie brakować nie powinno.

Z tym dostatkiem jednak jest coraz to gorzej. Warunki ekonomiczne coraz są cięższe — dodam, że nie tylko u nas, lecz i w innych krajach Europy powojennej — jeżeli cudza bieda może nam za pociechę służyć. Tam, gdzie wydawano łatwo setki, dzisiaj o dziesiątki trudno. A odmówić całemu domowi, a szczególnie dzieciom, przysmaków, do których coroku przywykli, nie urządzić im choinki, niedodawać przez te parę tygodni do posiłku pierników, bakalij i innych słodczy — na to żadna pani domu, żadna matka się nie zdecyduje. Każda zaś pani domu może znakomicie zmniejszyć koszt tej choinki i tych przysmaków, wkładając w ich przygotowanie trochę pracy.

Wszystkie nieomal surowce są u nas tanie. Mąka, cukier, owoce świeże i suszone, miód, czekolada, mleko i tym podobne części składowe pierników, cukierków i innych słodczy są pochodzenia krajowego, a korzeni i bakalij przywożonych możemy się starać używać tylko w ilości niezbędnej.

Zacniemy od pierników, tego najstarszego ze znanych u nas, słodkiego ciasta. Piernik, jedzony obecnie tylko w czasie Bożego Narodzenia, dawniej był codziennym gościem na stole polskim. Głównie używany, jako przekąska po wódce. Picie kieliszka wódki, zagryzanej piernikiem, w starych domach polskich było połączone z pewnym codziennym ceremonjałem. Ani wódek, ani pierników nie podawano przytem na stół, gdzie wraz ze starszymi zasiadały dzieci i liczni gracjaliści, panny respektowe, krewni na łasce i t. p.

Pan domu i paru najszanowniejszych domowników, lub mniej ceremonjalnych gości, udawali się przed obiadem do pani domu i, całując ją w rączkę, upominali się o kieliszeczek. Wołano pannę apteczkową — w skromniejszych domach sama pani brała kluczki i szło się do apteczki (tak zwano małą spiżarnię podręczną, mieszczącą najwykwintniejsze przysmaki). Tam to stały w zwartym ordynku butelki i gąsiorki z rozmaitemi pióluńkami, pieprzówkami, anyżówkami, ajerówkami, cynamonówkami, starkami, miętówkami i ratafjami. Między niemi nie brakło, oczywiście, i złotem kapiącej gdańskiej wódki — ta jednak była od święta, od paradnych gości. Na codzień używano nie mniej smacznych, a nic nie kosztujących (wszak gorzelnia była własna), wyrobów domowych. Pito z umiarem, dla apetytu, po kieliszeczku lub po dwa najwyższej i zagryzano piernikiem. Pierniki takie, do których ciemniejszy miód już przy letnich miodobraniach gromadzono w lipówki, pieczono w dużych ilościach, przeważnie raz do roku, na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem i przechowywano w szczelnych blaszankach, lub w szklanych słojach.

Robota pierników nie była skomplikowana, gdyż składały się na nie czysty, wrzący miód, korzenie, mąka (koniecznie razowa), siana na sitach, a niepyłowana we młynie, żytnia i pszenna po połowie, spirytus i potaż. Nieskomplikowana, ale pracowita i mę-



cząca. Takie ciasto miało konsystencję gumy do opon samochodowych. Wybijać, wygniatać i wyciągać je musiały przez dni kilka, na zmianę, silne dziewczęta. Po upieczeniu pierniki te były twarde, jak żelazo. Dopiero po paru tygodniach leżenia stawały się jadalne, a wtedy były rzeczywiście wyborne, wprost topniały w ustach.

Dzisiaj stosuje się prostsze i prędsze sposoby. Mąkę używamy przeważnie pszenną. Do miodu, dającego aromat, dodajemy cukru, udzielającego ciastu kruchości; w skład ciasta, oprócz dawnych korzeni, wchodzi jaja, czasem śmietana, masło lub inne tłuszcze. Soda lub proszek do pieczywa zastąpiły potaż. Ciasto się wyrabia równie prędko, jak tortowe i, jak torty, przekładamy pierniki masami marcepanowymi, pralinowymi, czekoladowymi; lukrujemy pierniki, ubieramy migdałami, orzechami i owocami, smażonymi w cukrze.

Do ubrania choinek można sobie zapomocą blaszanych szablonów wycinać z pierników różne figury zwierząt i ludzi, a po upieczeniu naklejać na nie (klejem roślinnym) gotowe obrazki; drobne pierniczki — orzeszki — mogą służyć do wypełniania papierowych koszyczków lub, nanizane rzadko na grube, kolorowe nici, opasywać wkoło choinkę, zamiast kosztownych sznurów migdałów i rodzynków.

Poza piernikami najbardziej rozpowszechnionym przysmakiem były orzechy i wszelkie z nich wyroby w rodzaju orzechów w miodzie, makaroników orzechowych, orzechów w karmelu, orzechów nadziewanych marcepanem. Orzechy na choinkę łatwo złocić, maczając je w rozbitym białku i otaczając cienkim płatkim złota lub srebra, sprzedawanych w małych zeszycikach; każdy płatek jest przełożony cienką bibułką, co ułatwia robotę. Orzechy laskowe można posklejać w taki sposób, aby formowały grona winne, tak samo pozłocić lub posrebrzyć, dodać listek papierowy i otrzymamy ładną, a łatwą do wykonania ozdobę na choinkę. Przepisy kilku przysmaków orzechowych podaję niżej. Niestety, drzewa orzechowe po ostrej zimie z przed dwu lat tak wymarzły, że mało gdzie są orzechy krajowe; wszystkie, spotykane w handlu, pochodzą z zagranicy i są bardzo drogie. To też w większej części przetworów możemy je zastąpić orzechami laskowymi, a nawet często białym makiem.

Niezależnie od makagigów z szarego maku i miodu, uważanych u nas za przysmak specjalnie żydowski, można robić wyborne makowniki z maku białego, smażonego na miodzie, układane pomiędzy dwiema warstwami opłatków i z niedużą ilością orzechów dla dodania im zapachu.

Jednak i czysto orzechowe i mieszane z makiem takie cukierki w opłatkach stać długo nie mogą. Wilgotnieją po paru dniach i stają się lepkie, nieprzyjemne do jedzenia. To też dobra gospodyni smaży

sobie zapas masy orzechowo-miodowej i trzyma ją w szczelnie zamkniętym garneczku. W razie potrzeby rozgrzewa dowolną ilość, smaruje pomiędzy opłatki, przyciska czemś ciężkiem, aby się dobrze skleily, i kraje ostrym nożem, posmarowanym oliwą.

Po orzechach niezbędne są rozmaite marmeladki. Serki jabłeczne i śliwkowe, których tyle przepisów było w „Bluszczy“, doskonale mogą je zastąpić. Doskonale się konserwują i doskonale dają krajać. Niezależnie od serków, można zapomocą japońskiego kleju roślinnego (agar-agar) wyrabiać z jabłek i wszelkich soków i konserw owocowych wyborne marmeladki domowe wszelkich smaków.

Ciągutki śmietankowe, potrzebujące tylko mleka lub śmietanki, cukru i odrobiny wanilii lub czekolady dla zapachu, są tak znane, że chyba niema domu (przynajmniej na wsi), gdzieby ich na własny użytek nie robiono.

Również znany jest przepis na marcepany prawdziwe królewieckie, który jednak dla młodych gospodyń dzisiaj powtarzam. Z takiego ciasta marcepanowego pomysłowa gospodyni potrafi wykonać niezliczoną ilość przysmaków i ozdób choinkowych.

Nasamprzód więc wszelkie owocki. Na wzór poraż pierwszy dobrze jest kupić kilka lub kilkanaście takich owoców i jarzynek w dobrej cukierni i naśladować je, posługując się farbami roślinnymi, zupełnie nieszkodliwymi, stosowanymi w cukiernictwie. Kartofelki z marcepanu, utarzanego w tartej czekoladzie, połówki orzechów, łączone masą marcepanową, daktyli i śliwki, nadziewane marcepanem, nie potrzebują wzorów; a kulki i pałeczki marcepanowe, maczane w rozpuszczonej czekoladzie, mogą rywalizować z najlepszymi cukierkami.

Naturalnie, w dużych miastach, gdzie czas kobiet jest drogi i łatwość nabycia wybornych wyrobów cukierniczych wielka — mało kto będzie się bawił w fabrykację domowych cukierków. Ale na wsi, w dużym domu, lub w licznych rodzinach, po małych miasteczkach, dokąd dobre wyroby cukiernicze nie docierają, panie i panny domowe mogą poświęcić parę wieczorów pracy przyjemnej, łatwej i zabawnej i z kilograma migdałów, półtora kilograma cukru, niedużej ilości śliwek, daktyli, orzechów i czekolady — zrobić ze cztery lub więcej kilogramów wybornych cukierków.

Nie sposób w jednym artykule przypomnieć o wszystkich przysmakach świątecznych, dających się wykonać w domu. Wspomnę jeszcze o migdałach i orzechach laskowych prażonych w cukrze i o ćwiartkach pomarańcz i winnych gronach, maczanych w karmelu — rzeczach wybornych, jednak nie nadających się na dłuższe przechowanie. Tych przepisów, które podam, starczy na zaspokojenie apetytu nawet bardzo licznych łakomeczuchów małych i starszych.

Pani Elżbieta.

DANIE UŻYWAJĄCE ŻAKA



**MIAFLOR** KREM, PUDER, MYDŁO, PERFUMY

WYRÓZNIAJĄ SIĘ DELIKATNĄ CERĄ I POWABEM



## WILJE

## WILJE NAJSKROMNIEJSZE

## I.

- 1) Barszczyk grzybowy, czysty, z uszkami.
- 2) Zrazy z białego dorsza (kabljan) z kartoflami.
- 3) Gołąbki z kapusty z ryżem.
- 4) Łamańce z makiem.

## II.

- 1) Krupniczek jęczmienny na grzybowym smaku.
- 2) Świeże śledzie (merlany) smażone, chrzan z octem.
- 5) Kapusta duszona na oleju z grzybami.
- 4) Kompot z suszonych owoców.

## WILJE SKROMNE

## I.

- 1) Śledzie-uliki marynowane w czystej oliwie, kartofle z wody.
- 2) Zupa: sago na winie.
- 5) Karp na szaro.
- 4) Bulwy włoskie zapiekane pod beszamelem.
- 5) Kotlety z białego dorsza, czerwona kapusta.
- 6) Krucho ciastka z tartym makiem.

## II.

- 1) Sielawki wędzone, minogi z musztardowym sosem, masło.
- 2) Barszczyk czerwony, uszka pieczone w krumchem cieście.
- 3) Sandacz w galarecie, sos majonezowy.
- 4) Brukselka z grzankami.
- 5) Karasie zapiekane w śmietanie, sałata kartoflana.
- 6) Owoce kompotowe w cytrynowej galarecie.

## WILJE WYKWINTNIEJSZE

## I.

- 1) Sałatka włoska, sos majonezowy, łosoś wędzony, sardynki.
- 2) Czysty rosół rybny z pulpetami.
- 3) Zupa migdałowa z rodzynkami i ryżem.
- 4) Suflet z ryby gotowanej, masło sardelowe.
- 5) Karp nadziewany we francuskim cieście, sos pomidorowy.
- 6) Budyń ze szpinaku z rumianem masłem.
- 7) Sielawy augustowskie, smażone, cytryna.
- 8) Krem makowy z makaronikami.
- 9) Kompot z suszonych moreli i brzoskwiń.

## II.

- 1) Śledzie-królewskie, kanapki z rumuńskim kawiozem, węgorz wędzony.
- 2) Zupa rybna zabiłana, paszteciki drożdżowe, pączkowe.
- 3) Sago na winie.
- 4) Karp zapiekany z grzybami.
- 5) Włoska kapusta pod beszamelem.
- 6) Szczupak faszerowany, sos chrzanowy.
- 7) Sandacz smażony „Orly”, sałata zielona, cytryna.
- 8) Kompot ze świeżych czereśni (konserwa).
- 9) Mak tarty z krumchemi ciastkami i makaronikami.

## KREM MAKOWY.

Filizankę białego maku opłókać parą razy, sparzyć wrzątkiem i dać mu dobrze napęcznić przez całą noc. Odląć, osuszyć na płótnie, zemleć jak do strucli. Pół litra najlepszej, młodej śmietany ubić na krem, dodać filizankę cukru-pudru, utłuczonego z kawałkiem wanilii i przesianego przez sito, utarty mak i dwa deka białej żelatyny, wymoczonej w zimnej wodzie i rozpuszczonej w dwóch łyżkach gorącej wody. Wymięszać doskonale i przełożyć do formy, wylanej wodą i wysypanej cukrem. Gdy dobrze wystygnie, wyłożyć na półmisek, ubrać makaronikami, lub wiórkami migdałowymi. Oddzielnie podać syrop owocowy.

## PIERNIKI ŁATWE.

Szklankę miodu i szklankę cukru ucierać do białości, dodać szklankę rzadkiej śmietany, jedno jajko, łyżeczkę drobno utłuczonych korzeni: ziela, goździków, cynamonu, gałki, kardamonu i anyżku, łyżeczkę sody. Mąki dosypać tyle, aby ciasto nie było gęstsze, jak na zwykle babki drożdżowe. Wyrobić doskonale. Przełożyć na brytfannę, wysmarowaną masłem lub woskiem. Upiec w średnio gorącym piecu. Gdy ostygnie, przekrajać na kilka większych części i przechowywać w pergaminie. W miarę potrzeby krajać na dowolne kawałki. Można też piernik ubrać przed upieczeniem oczyszczonymi z łupin i przepołowionymi migdałami.

## PIERNIKI TORUŃSKIE.

Litr miodu mocno zasmażyć, aby się nawet lekko zrumienił. Odstawić od ognia, wlać weń pół szklanki spirytusu. Lać wolno, wciąż mierzając, gdyż spirytus mógłby się zapalić. Przygotować na misce półtora litra mąki żytniej, razowej, przez sito przesianej i dobrze wygrzanej. Dwie łyżeczki korzeni tłuczonych: goździków, cynamonu, imbiru, kardamonu, kwiatu muszkatolowego i ziela. Garść skórki pomarańczowej lub cytrynowej, tylko żółtej i drobno pokrajanej. Zalać to wszystkim gorącym miodem ze spirytusem i wyrabiać doskonale drewnianą kopystką, aż masa bieleć zacznie, na co trzeba nieraz około dwóch godzin. Wybijając ciasto, dodać doń pół deka potażu. Ciasto, przykryte drugą miską, wynieść na pięć dni na chłód. Wnieść napowrót do ciepłej kuchni, dodać drugie pół deka potażu, jeszcze wyrabiać mocno nie mniej, niż godzinę. Maczać ręce w piwie lub wodzie z miodem, układać ciasto do form papierowych, wysmarowanych woskiem. Ubrać po wierzchu migdałami i kawałkami cykaty, smarować tem piwem lub wodą z miodem, potrzymać parę godzin w ciepłe, nakoniec piec w miernie gorącym piecu. Przed użyciem trzymać tydzień w wilgotnej szpiżarni albo piwnicy, żeby zmiękły. Są nadzwyczaj trwałe.

## MARCEPANY KRÓLEWIECKIE.

Kilo migdałów słodkich i jedno deka gorzkich sparzyć, obrać z łupinek, doskonale osuszyć na złożonym w kilkoro, miękkim płótnie. Utrzeć bardzo drobno i dokładnie na specjalnej maszynie lub na drobnej tarce. Półtora kilo cukru-kryształu utrzeć na maszynie i przesiać przez gęste sitko. Tłuczonego w móżdzierzu cukru używać na marcepany nie należy, lepiej kupić gotowy, mielony puder i przed użyciem jeszcze go prze-

## DROBNE OGŁOSZENIA.

MIÓD karpacki, deserowy, leczniczy, z własnej pasieki 5 kgr. puszka, za pobraniem 25 zł. wysyła Dwór Rudenka p. Olszanica k. Ustrzyk.

KOŁO POLEK poleca panią jako pomocnicę sklepową lub nianię. Adres, Plac Zamkowy 9 — Koło Polek.

OSZCZĘDNE I WYTWORNE panie, chcące mieć trwałą, modną i estetyczną fryzurę, cheszą się tylko u ALEKSANDRA, MARSZAŁKOWSKA Nr. 79, tel. 406-82. Ondulacja zwykła, wodna, trwała, mycie, farbowanie włosów, brwi i rzęs przez specjalistów. Manucure.

Przygotowania świąteczne nie obejdą się bez książki p. t.

**„CUKIERKI I SŁODYCZE  
DOMOWEJ ROBOTY“**

która nauczy, czem zastąpić kosztowne  
bakalje zagraniczne.

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Warszawa,  
Plac Zamkowy 9, Konto P.K.O. 13.555.





## CHARAKTERYSTYCZNE PIĘKNO

posiada mieszkanie zdobione gustownymi gobelinami o wzorach klasycznych obrazów:

## GOBELINY

o rozmiarze 25 × 25 cm. — kosztują zł. 2.50  
50 × 50 cm. — zł. 5. —; 150 × 50 cm. zł. 18. —  
150 × 65 cm. — zł. 55 zł. i 60. — (w wyższym gatunku.)

Rodzaje wyrabianych gobelinów:

- 1) wschodni, 2) stylizowane krajobrazy, 3) rodzajowe,
- 4) krajobrazy naturalistyczne, 5) styl Ludwika XVI.

412

# BRACIA JABŁKOWSCYK

siac przez sito. Utarte migdały wymieszać dokładnie z cukrem na równą kaszkę. Dopiero wtedy zacząć dodawać po kilka kropel wody różanej i energicznie wygniatać całą masę, aż się połączy i stanie gładka (strzec się przed zbytniem zwilżeniem masy). Z takiej masy wyrabiać następujące cukierki:

1. **KARTOFELKI:** Brać kawałki marcepanowej masy rozmiaru najmniejszego włoskiego orzecha, skręcać je w kulki, nie nadając jednak zbyt prawidłowego kształtu. Tarzać te kulki w proszku kakao lub w drobno utartej czekoladzie. Patyczkiem albo grubym widelcem zrobić kilka nakłut, naśladowujących miejsca rostków. Ułożyć na cukierniczej kratce na parę godzin, aby obeschły i zjedźniały. Można też parę oczyszczonych migdałów słodkich pokrajać w cieniutkie piórka i nimi rzadko nasypikować kartofelki.

2. **ORZECHY Z MARCEPANEM:** Ostrożnie obrać kilkanaście włoskich orzechów, aby jądro pozostało całe i dało się podzielić na równe połówki. Brać po kawałku marcepanowej

masy, kłaść na jedną połówkę orzecha, mocno przycisnąć drugą i maczać takie orzechy w gorącym karmelu. Osuszać na cukierniczej kratce.

3. **SLIWKI Z MARCEPANEM:** Duże, niezbyt suche śliwki namoczyć na dobę w małej ilości zimnej wody. Gdy dobrze zmiękną, rozciąć z jednego boku, usunąć pestkę. Uformować z marcepanowej masy wałeczek nieco grubszy od pestki, a tak długi, jak śliwka. Napelnić nim śliwkę, mocno zacisnąć. Prędko umaczać w karmelu, lub w gęstym syropie od jakichś konfitur i ułożyć na parę godzin na cukierniczej kratce dla obsuszenia.

4. **MARCEPANY W CZEKOLADZIE.** Tabliczkę czekolady rozpuścić z jednakową ilością cukru w mleku lub śmietance (na 15 deka czekolady i tyleż cukru jedna łyżka mleka). Próbować łyżeczką: jeśli masa na niej zastyga, brać kulki, wałeczki lub inne figurki, uformowane z masy marcepanowej, maczać w czekoladzie i układać na kratce cukierniczej dla obsuszenia.

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,  
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.



# Nasza Mównica

## Dwugłos.

Jestem studentem prawa. Do małżeństwa, naturalnie, jeszcze mi bardzo daleko (tak mi się przynajmniej zdaje); narazie, jak to młody, marzę o tem swoim przyszłym życiu małżeńskim; patrzę na pożyacie najbliższych, bliższych i dalszych znajomych; ze spostrzeżeń wysnuwam wnioski, dyskutuję na temat małżeństwa (stosunku męża do żony, praw żony, kobiety wogóle etc.) z kolegami i koleżankami. Przyczyna tego bardzo prosta. Starym kawalerem zostać nie myślę, a, że żyje się tylko raz, chcę urządzić sobie (przynajmniej staram się o to) życie jak najwygodniej i najlepiej. To chyba zrozumiałe.

— Wiesz, mówił mi parę dni temu jeden z kolegów. — Gdybym się miał dziś żenić, nie pozwoliłbym przedewszystkiem swojej „najdroższej“ kończyć gimnazjum. Kobiecie wykształcenie niepotrzebne. Sześć klas zupełnie wystarczy. Inteligencji trochę, no tak.

— Dlaczego?!!

— To bardzo proste: żeby czuła nad sobą wyższość mężczyzny i całkowicie uznała jego wolę.

— Takie zdanie było zasadą może jeszcze w XVIII-tym wieku. Ale dziś?

— Mylisz się. Ma ono swoją rację i dziś. Prawdziwy mężczyzna nie wyzbędzie się uczucia „pana“. Duma męska nie pozwoli mu nosić nad sobą nic i nikogo. W pożyciu małżeńskim nie dopuści do równości żony ze sobą. Bo z chwilą, gdy żona stanie się równą mężowi wykształceniem, inteligencją, uprawianiem, mężczyzna się poniży. Paradoks? Być może. Ale tylko słowny.

— Jaktó! Nic nie rozumiem. Poczekaj, zreasumuję twoje słowa: kobiecie nie dać wykształcenia, uprawnień, uzależnić ją od swej woli, „męskiej dumy“? Więc czemu jest, czy ma być, kobieta-człowiek, kobieta-żona? Przecież mi chyba nie zaprzeczysz, że kobieta rodzi się tak, jak mężczyzna? Nie możesz, ale wiem, że zechcesz przeczyć, gdy ci powiem to, co jest dla mnie przekonaniem, że kobieta przynosi ze sobą na świat te same zdolności i wartości moralne i psychiczne, co i mężczyzna. Sądzę, że oburzysz się nawet, gdy ci powiem, że te moralne i psychiczne wartości są u kobiety częstokroć wyższe, niż u mężczyzny. Chcesz przykładów? Powiedz: w jakim kraju znajdziesz wśród kobiet tylu pijaków, karciarzy, oszustów, morderców, co w każdym wśród mężczyzn? Powiesz: prostytutki. A dla kogoż one są prostytutkami? Dla siebie samych? Toż gdyby mężczyźni mieli tę silną wartość moralną, tę „dumę męską“, czyżby zgodzili się na to poniżenie i upodlenie kobiety?

— Kobieta przez to samo już, że rodzi się kobietą, jest niższą od mężczyzny.

— Nieprawda! Kobieta rodzi się równą mężczyźnie, z tem samem nastawieniem życiowem. Ma prawa do życia, które bierze, do świata, w który wchodzi, takie same, jak mężczyzna. W tem zdaniu masz cały mój pogląd, a zarazem przeciwstawienie twojemu.

— A wytłumacz mi taką rzecz: wsiadam do wagonu, którym jedzie młoda dziewczyna. Siadam naprzeciwko niej. Panienska, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wyjmuje z torebki puder, kredkę,

no, pewnie wiesz, jak się taka tualeta robi. Powiedz, czemu? Czyż nie po to, żeby się przymilić, przypodobać mężczyźnie? Czyż nie w jakiejś podświadomej nadziei-pragnieniu poddania się woli mężczyzny? Czyż nie spotykasz na każdym kroku kobiety, która potrzebuje silnej ręki, podporządkowania się twojej myśli?

— Poczęści tak, masz rację. Ale poczekaj. Mówisz o malowaniu i pudrowaniu się kobiety. Posłuchaj, dam ci inny obrazek. Siedziysz, dajmy na to, w wagonie. Wszystkie miejsca zajęte. Na jednej ze stacyj wsiada studentka. Ty ustępujesz jej miejsca. Powiedz, czemu? Czyż zawsze z szacunku dla kobiety? Czyż nie częściej dla przypodobania się jej? Albo dalej. Idziesz z dobrze ci znaną, bliską koleżanką. Przy pożegnaniu zdejmujesz kapelusz i czekasz, aż ci pierwsza rękę poda. Całujesz ją w rękę, prawda? Kłaniasz się jeszcze raz grzecznie i odchodzisz. Ona? Poda ci rękę, uśmiechnie się i pójdzie.

Co ci na to mówi twoja „duma męska“? Uczucie „pana“? To wszystko, widzisz, są takie formy, sposoby zewnętrznego niejako współżycia mężczyzny z kobietą. Częściowo oparte na tradycji, częściowo na rycerskości męskiej, ale jest w tym stosunku i dużo dziwactwa! Bo powiedz: jeśli w kobiecie uznajemy równego sobie człowieka, poco to całowanie w rękę studentki? Poco to ustępowanie miejsca młodej kobiecie, często mniej zmęczonej od nas? Jeden jeszcze czynnik w tym stosunku gra rolę. Mężczyzna w każdej towarzysze, koleżance, znajomej widzi to, co „uwielbił“ w swojej „najdroższej“: kobiecość. Przez miłość matki, siostry, narzeczonej, żony, czy ukochanej, oddaje mężczyzna należny szacunek, rzeczywisty, czy tylko zewnętrzny, formalny... kobiecie. I tego nie reformuje się tak łatwo, jak niełatwo da się w karby ująć stosunek wzajemnej miłości.

— Miłość... Słuchaj, czy to nie chwilowe tylko oszołomienie zmysłów?

— Masz rację. Ale nieraz wiele znaczące w życiu. Powiem ci, może uznasz to za paradoks? Niepotrzebne jest małżeństwo do miłości, niepotrzebna jest miłość w małżeństwie. Budzi się miłość nagle, jak iskra błyskawicy w chmurach. Czasem trwa rok, czasem parę, ale nie trwa nigdy lat czterdziestu. Miłość wyrozumieć nie sposób. Nie wiadomo, czy jest? Czy wstawiamy ją tylko w siebie? Czy idziemy, że użyję tego wyrażenia, za podszeptem męskiej dumy? oszołomienia zmysłów? Nie przez miłość droga do małżeństwa. Do małżeństwa trzeba przygotować się drogą wzajemnego poznania, zrozumienia, ocenienia swych zalet i wad, wzbudzenia wzajemnego szacunku. I ot, ten szacunek wzajemny, zrozumienie się, docenienie będzie najlepszą, najtrwalszą podstawą małżeństwa, zapewni najlepiej szczęśliwe długie pożycie.

— Może masz trochę racji. Ale ja pozostaję przy swoim, że mężczyzna powinien dać odczuć kobiecie swoją wyższość, przewagę. Żona musi się czuć zależną od męża. Tylko ten stosunek bezwzględnej zależności zapewni małżeństwu harmonję.

— Nigdy. Żeby była ta harmonja, o której mówisz, kobieta musi się czuć przyjaciółką, towarzyszką, powiernicą męża. Nie może się czuć skrzepowana. Musi być wolna i niezależna.



— Niezależna... A skrępowanie materialne?

— Czyż kobieta nie ma prawa zostania adwokatką, doktorką, nauczycielką, urzędniczką? Może zarabiać narówni z mężczyzną i wspólnie z nim utrzymywać dom. Ale to inna kwestja.

— Składowskie są wyjątkami. Pomijając jednak dziedzicze intelektu, gdzież siła fizyczna, któraby pozwoliła kobiecie walczyć o życie narówni z mężczyzną?

— Odpowiem ci po studenku: równowaga materji. Mężczyźni mają przewagę siłą fizyczną, kobiety moralną. Mężczyzna wykorzystuje przewagę swych sił na ochronę kobiety, kobieta jest zarzewiem działania mężczyzny. Mówisz: walczyć o życie, z życiem... Tak, o życie się walczy. Trzeba tylko jedno uwzględnić: że życie jest nie poza nami, ale w nas samych. Walczy myśl z myślą, uczucie z uczuciem, pragnienie z pożądaniem. I to jest życie. Czyż tej walce nie trzeba raczej sił duszy, niż ręki?

Wykład (rozmawialiśmy podczas przerwy na uniwerku) przerwał nam dalszą dyskusję. Nie mieliśmy już potem sposobności podjęcia jej. Może, dzięki „Naszej Mównicy“, zawiąże się ona nanowo? Czekam ostrej krytyki kolegów. A może i koleżanek?...

Tadeusz Jastrzębiec-Rogowski — Milanówek.

### Samowystarczalność gospodarcza.

Samowystarczalność, silne słowo, które stało się ciałem na kilku perkaliowych balach w stolicy i kilkudziesięciu na prowincji. W życiu codziennem pozostaje słowem, słowem bez sankcji, bez mocy twórczej, bez autorytetu. Bo jakże? Od stycznia do września r. b. poszło zagranicę 300 miljonów złotych, nie na herbatę, nie na bawełnę, ale na towary, u nas produkowane: obuwie, materiały włókiennicze i t. d.

Należy odróżnić wśród towarów zagranicznych te, bez których obejść się trudno i obchodzić się byłoby nonsensem, boć przecież międzynarodowy ruch handlowy istnieć musi. Do takich należą towary kolonialne (kawa, herbata, pieprz, kakao, cynamon i t. d.), surowce, jak bawełna i t. p. Owoce zagraniczne zaliczone być muszą do tejsze grupy, szczególnie pomarańcze, jako owoc zdrowy i smaczny i łatwy do podania dla chorych i niemowląt. Co do jabłek amerykańskich, miałabym pewne zastrzeżenia, gdyż sądzę, że przy pewnej pieczołowitości i chęci udałoby się naszym ogrodnikom i kupcom przechowywać jabłka dłużej i apetyczniej. Ale, na miłość Boską, obuwie?! tweedy?! jedwabie nawet?! perkaliki?! kasze?! kosmetyki?!

Dużą winę ponoszą kupcy, bo niejednokrotnie *oszukują*, sprzedając towar zagraniczny za krajowy, co mi się osobiście zdarzało, lub wmawiając, że zagraniczny lepszy, albo wprost towarów krajowych nie trzymając.

Ale winne są i kobiety, które prawie wyłącznie sprawunki załatwiają, nie ucząc kupców tego najtańszego i najskuteczniejszego patriotyzmu. Czy Panie wiedzą, do jakich granic posuwa się obecnie snobizm? Krajowe pończochy, robione nie na eksport, ale na użytek krajowy, mają napisy francuskie, bo, jak mnie objaśniono, „panie żądają zagranicznych“! „Szlachetne“ oszustwo!

Sądzę, że czas z tem skończyć, że możemy zdobyć się na odwagę noszenia rzeczy krajowych, *dla tego*, że krajowe, a nie *mimo to*, że krajowe.

Jest kilka motywów kupowania towarów zagranicznych:

1. lekkomyślność;
2. przekonanie, że zagraniczny towar jest lepszy;

### 3. niższa cena towarów zagranicznych.

Co do punktów 1 i 2, łatwo dadzą się znieść dobrą wolą i chęcią myślenia nabywców.

Punkt 3-ci jest argumentem poważnym, z którym muszą się uporać czynniki miarodajne. W tem tkwi tajemnica importu ubrań gotowych i obuwia: np. eleganckie pantofle zagraniczne kosztują 35—45 zł., warszawskie 50—70 zł. Polityka celna jest dla mnie o tyle tajemnicza, że nie wiem, czy możliwe jest podniesienie cła; tajemnice handlu krajowego są o tyle dla mnie niezrozumiałe, że nie wiem, czy można wpłynąć na obniżenie cen wyrobów krajowych. W każdym razie konkurencja cen leży poza kompetencją szerszej publiczności i tu grozi zawsze fakt, że nabywca pójdzie za głosem... kieszeni.

Naogół sprawa samowystarczalności stanie na gruncie realnym, gdy przy *każdym* sprawunku pomyślimy o tem, czy nie popełniamy grzechu wobec kraju; gdy każdy sprawunek będziemy *sprawdzać*, gdy będziemy omijać sklepy, gdzie mają towary tylko zagraniczne; jeśli nabycie towaru krajowego przestaniemy uważać za *piękny gest* w kierunku idei p. Deyey'a (też wyrób zagraniczny!) i wogóle patriotyzmu, a zaczniemy uważać je za *spełnienie obowiązku* szarej codzienności. Jedna, dwie, trzy sukienki „perkalikowe“ kwestji nie rozwiążą: musimy czuwać codziennie, by pieniądze w kraju zostawały.

Zachętą, smutną zachętą niech nam będą blade twarzyczki dzieci suterem i ponure spojrzenia tysięcy bezrobotnych.

To są obowiązki każdej obywatelki.

A te i ci, którzy stoją na świecznikach, niech myślą o rozporządzeniach (jak np. znakowanie wyrobów krajowych), o kalkulacji cen i t. d.

Tylko bezsilnością w tej dziedzinie nie zaślaniamy się, a róbmy to, co jest w *naszej* mocy i to nie od święta i krzykliwie, ale codziennie. Tym sposobem wychowamy sobie i kupców. Bo kupcy nas kokietują, dadzą to, czego naprawdę wszystkie żądać będziemy. I dziś dają to, czego chcemy: wyroby zagraniczne.

Częstochowianka

### Małżeństwo w pojęciu młodzieży (w odpowiedzi p. W. R.)

„Dewizą w małżeństwie powinien być mądry wybór“, mówi p. W. R. z Krakowa. Dodam jeszcze, że, wychodząc zamaż, pamiętać należy o tem, jakiego ojca wybieramy przyszłym dzieciom naszym. Mądry wybór i celowość w małżeństwie są, mojem zdaniem, najważniejszymi czynnikami, inspirującemi dzisiejszą młodzież obojga płci. Nowoczesna młodzież zmieniła zapartywania na małżeństwo. Tylko bardzo lekkomyślne dziewczęta i bardzo zapsuci młodzi ludzie traktują ten problem z punktu widzenia „Sonaty Kreutzerowskiej“ Tołstoja, albo uważają za konieczne zło dla dokończenia kariery, uchylając się wtenczas od obowiązków wychowania dzieci, bo pani nie poto wyszła zamaż, żeby dla dziecka wyrzekać się swobody i tracić urodę, a pan nie poto żyje, aby pracować.

Całe szczęście, że tacy państwo nie wychowują młodego pokolenia, gdyż zasady ich wypaczyłyby młode dusze i stworzyły społeczeństwu zawadę, a może i zakałę. Ciężkie położenie materialne jednak już odoczyło wielu lekkomyślności i bezmyślności. Przyszłość stanęła przed niemi w postaci znaku poważnego zapytania, a poczucie odpowiedzialności pobudza do myślenia nad sobą i ustosunkowaniem do życia wogóle, małżeństwa i osoby wybranej w szczególności.

To, że kobieta wyszła z ramek ciasnego domu rodzicielskiego, jest przyczyną potrzeby realnej pra-



ey, zużytkowania energii i zdolności dla dobra ogółu. Usamodzielniając się, stojąc o własnych siłach, kobieta zyskuje uznanie i szacunek mężczyzny. To właśnie stanowisko kobiety, to platforma, na której stanąwszy, ma prawo szukać wśród mężczyzn, dobierając sobie na drogę życia towarzysza o zapatrywaniach pokrewnych jej własnym, o podobnych do jej aspiracji dążeniach. Darząc się wzajemną sympatją, pracują razem, a potem często podają sobie ręce na wspólną drogę przez życie. Świątką była im praca, ona ich poznała, zbliżyła, nauczyła kochać wzajemnie przez umiłowanie wspólnoty w pracy.

Będąc sama częścią tej młodzieży pracującej, obserwowałam przejawy psychiki rówieśników swoich. Wysłałam zamąż, znajdując w mężu odbicie własnych ideałów, pragnienie współpracy, koleżeństwa i przyjaźni na tle harmonijnego życia w ognisku rodzinnym.

Moszyńska — Gniezno

### Dwie bojowniczkę o polską szkołę (wspomnienie pośmiertne.)

W chwili, gdy cała Polska przygotowywała się do uroczystego obchodu dwudziestopięcioletnia szkoły polskiej w byłej Kongresówce, zmarła w Krakowie 19 października w osiemdziesiątym drugim roku życia jedna z bardzo zasłużonych bojowniczek o tę szkołę, ś. p. Klara Kaczkowska.

I oto niejednej z Jej uczennic stanie przed oczyma ta niepospolita postać. Przypomną Ją sobie warszawskie wychowanki i te, które potem w Krakowie przez kilkanaście lat prowadziła. I napewno ujrzą oczyma pamięci towarzyszkę i przyjaciółkę ś. p. Klary Kaczkowskiej, zmarłą przed laty ośmiu ś. p. Lucję Żeleszkiewicz. Przypomni się krakowskim uczennicom nasza pensja przy ulicy Gołębiej, popularnie „Gołębnikiem“ zwana, a na jej tle drogie nasze Przełożone. Jak dobre duchy, krążyły wśród nas, poważne, pozornie bardzo surowe, otoczone głęboką czcią, imponujące nam niesłychanie swoim rozumem, taktem, wykształceniem i umiłowaniem wiedzy.

Rygor w szkole był wielki, wymagano od nas rzetelnej pracy, karcono nieraz surowo za przewinienia, ale czułyśmy, że pod pozorną surowością biją dla nas serca, gorąco oddane naszych Przełożonych. Przez Swą pracę niestrudzoną, bezinteresowność i poświęcenie były dla nas najlepszym przykładem. Wiedzia-



Ś. p. Lucja Żeleszkiewicz.



Ś. p. Klara Kaczkowska.

łyśmy, że dawniej miały w Warszawie szkołę, którą objęły po Paulinie Kraków, że Im tę szkołę zamknięto w 1886 r. za patriotyczny duch zakładu; więc były dla nas owiane nimbem tajemniczości i czczone za to, co za polską sprawę wycierpiały.

Obie Przełożone miały wielki dar budzenia zamiłowania do nauki, a przez oddziaływanie w duchu patriotycznym i obywatelskim wychowywały cały szereg wykształconych i uświadomionych jednostek, dobrych obywaterek. To też otoczone były powszechną czcią społeczeństwa i miłością uczennic. Gdy wyczerpane długoletnią pracą pedagogiczną musiały porzucić swój umiłowany zawód, a przez wojnę zostały pozbawione swego małego kapitału, społeczeństwo otoczyło Je opieką, a dawne uczennice nie szczędziły dowodów czci i pamięci, odwdzięczając się tym sposobem za to wszystko, co ś. p. Zmarłe dla drugich uczyniły.

Za swój głęboki patriotyzm, za walkę o polską szkołę, o równouprawnienie kobiet, zasłużyły sobie te niestrudzone Pracowniczki na pamięć potomności, co zwłaszcza w roku jubileuszowym uprzytomnić sobie należy.

Jedna z krakowskich uczennic

### Autosugestia (parę słów w odpowiedzi p. Innej).

Szanowna Pani. Czy też w większej mierze w tragizmie Jej życia nie było właśnie autosugestji, że Pani jest „inna“?

Ciocie, babcie etc. wmówiły i nie umiała się Pani z tego otrząsnąć. Dziś już takie mamutowe poglądy nie istnieją u warstw kulturalnych. To zaścianek. Zresztą kobiety dietne, smutne to, ale prawdziwe, przygarniając dziecko, rzadko potrafią dać mu zapomnieć o sieroctwie. Zwykle każda sierota jest czemś innym, i niższego gatunku, niż własne dzieci.

Z mężem też. Nie miała Pani odwagi powiedzieć odrazu tego, co powiedziane, o ile kochał Panią, podwoiłoby tylko miłość i szacunek. Ukryte, doskonale nadało się, jako pretekst, gdy sobie znalazł, lub gdy zapragnął innej. Dziś tysiące stadel i bez tego pretekstu się rozchodzi i niechże Pani nie dopuści przynajmniej do swoich dzieci ustalenia się przekonania, że cośbądź, poza własnym czynem, może ująć czy przydać wartości człowiekowi. Być silną, nie dać się i zlekceważyć sądy i poglądy głupców, właśnie zyskując sobie szacunek rozsądnych ludzi.

M. B. z Lubelskiego